№ 235 Wąsowski J. III X.

p. Chyrów.

LISTY PRABABKI

(1832—1836)

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. .....

Inż. Leon Wąsowski

MARYA RACZYŃSKA

LISTY PRABABKI

(1832—1836)

NOWELE

№ 1041

WYDANIE DRUGIE

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr. 1041

LWÓW — H. ALTENBERG
WARSZAWA — E. WENDE I S-KA
NEW-YORK — THE POLISH BOOK IMPORTING CO.
1911

SEMINARIUM NAUCZYCIELSKIE DWUKLASOWE Gliwice
SN 22369

TEJŻE AUTORKI WYSZŁY:

DZIENNICZEK HANUSI TYNIECKIEJ. Powieść dla dorastających dziewcząt.

TANCERKA Z XOIS. Nowele egzotyczne.

MOIZES. Powieść.

Kolegium Nauczycielskie BIBLIOTEKA Gliwice
821.162.1-3

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SP.

POLE RACŁAWICKIE

Państwowe Liceum Pedagogiczne w Gliwicach
Biblioteka
Rocz. Listy
1041
8-3
STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
Biblioteka
Gliwice
SN

Rozległe, szarawe ugory, poczerniałe, rozmokłe rżyska, pod niebem chmurnem, jesiennem, sinem. Mgiełki leciuchne, blade, przejrzyste podnoszą się z ziemi, rozwłóczą po ścierniskach, wznoszą się w górę i opadają, płyną ponad ziemią zwiewne, wydłużone, duchom podobne i znów łączą się razem, wsiąkają jedne w drugie, tworzą olbrzymi, ciężki, nieprzejrzany tuman mglisty, który zasnuwa i chłonie w siebie krajobraz i nieskończonym smutkiem kładzie się na duszy.

Gdzieś tam w oddali majaczeją ciemne, smukłe kontury ogołoconych z liści brzózek, słychać wiew wiatru cichy, łkający — wiatru, który tam kędyś od lasku brzozowego idąc uderza o suche, zwisające pręcie drzew i płacze.

Mrok zapada coraz głębszy, zupełniejszy, cichszy — mrok surowy i chłodny, kochanek śmierci i tęsknoty.

Więc to tutaj! — więc tutaj...

Dusza cofa się w przeszłość, marzy, wspomina, płonie. Obrazy ogromne, świetlne, wstrząsające — wspomnienia ukochane, bolesne i święte,

uczucia nieskończenie tkliwe jak tęsknota i uczucia butne, silne, bezwzględne jak duma — uczucia zrodzone z łez i krwi, z uniesienia radosnego i bezbrzeżnej rozpaczy, powstają, kłębią się olbrzymieją.

Serce bije młotem — łzy płyną z oczu, gorżkie, palące łzy żalu za przeszłością, za onym złotym, bohaterskim wiekiem zapału i ofiary, za onem promienistem świętem Wiary i Mocy. Kolana gną się i usta łkające przywierają do ziemi, do tej ziemi nieszczęsnej która cała jest jedną, wielką, bolesną relikwią, do tej ziemi przesiąkniętej wskróś krwią i łzami.

I nagle płakanie wiatru staje się tak blizkiem, tak rozpacznem, ogromnem, iż przysiągłbyś, że tysiące istot tajemnych i bolesnych, istot zapomnianych oddawna, wyciąga ku tobie z mroku ramiona i skarży się i mówi i płacze.

Dusza zapada w groby, zagląda w łono ziemi czarne, gnijące. Widzi nabrzmiałe, sine czoła, twarze zastygłe w przerażeniu, okropną męką konania wykrzywione usta. Widzi rozwarte, zczerniałe od krwi piersi, otwarte aż do trzew łona, ciała poszarpane, purpurowe od ran; zaciśnięte, krwią obroczone pięście. I widzi ciała odpadające od kości, szkielety rozsypujące się w proch, oddzielone od tułowia czaszki, czaszki patrzące pustymi oczodołami, śmiejące się okropnem, straszliwem spojrzeniem.

Zdają się one mówić, krzyczeć, chichotać: »Otośmy kwiaty waszych serc, płomienne kwiaty waszych piersi, otośmy myśli wasze, prochy... prochy... prochy...

Oto nadzieje, które się rodzą, aby umrzeć, ofiary które się pełnią, by przepaść bez echa, ognie miłości, co wybuchają by się wypalić, popieleć, zgasnąć.

Oto my, które jesteśmy jedyną prawdą życia — popioły... popioły...

Zaprawdę warto prężyć ramiona, zaprawdę warto wysnuwać złotą przędzę myśli, zaprawdę warto w kawały drzeć serce, roztrzaskiwać piersi o skały.

Dalej, dalej naprzód! a za wami krok w krok pójdziemy my; ciche, zimne, nieubłagane, straszliwe siostrzyce — Śmierć, Nicość, Zagłada.

My, które jesteśmy Jutrem.«

. . . . . .

Okropny skurcz serca, rozłamywanie się i rozpadanie wszystkich wierzeń, nadziei.

I nagle Chwila-Błyskawica — jedyna chwila życia — płomienne Objawienie — Jasnowidzenie rozbolałej aż do szału duszy.

Idą... ziemia drży, gnie się pod naporem ich stóp. Idą... ramię przy ramieniu, pierś przy piersi, niepowstrzymani, nieobjęci jako lawina, kiedy wali z gór. Białe na nich świtki, siermięgi szare, znoszone, grube robotnicze bluzy.

Jako uderzenia piorunów biją spojrzenia ich ócz, ócz jasnych, dziecięcych, błyszczących z popod płowej grzywy równo przyciętych włosów, z popod brwi groźnie ściągniętych.

Ogorzałe, zgrubiałe, nabrzmiałe od żył ręce dzierżą śmigłe drzewce.

A górą szumi, dźwięczy, błyszczy las kos.

. . . . . .

Kimże jesteście, o niezliczeni?!

P r z y s z ł o ś c i ą!

. . . . . .

I znowu cisza, martwota, mrok — po ugorzysku rozwłóczą, kłębią się mgły i jeno wicher zawodzi... jęczy... płacze...

Racławice — Kraków 1900 r.

LISTY PRABABKI

(1832—1836 r.)

Matce mojej

poświęcam.

»Otośmy drzewa na jesiennej słocie
i kłosy zżęte, rzucone na wichrze,
Odartych liści najświetniejszych krocie
leżą pokotem we krwi«

. . . . . .

Straszliwa noc dla ducha ciąży,
A duszę zapęd rwie... nie wie gdzie dąży...
O, znaj ty nasze męczeństwa sybirne,
Żelazem dłonie i ręce zakute,

. . . . . .

St. Wyspiański.

Z lat dziecinnych — owych słonecznych, cudnych lat najwcześniejszej młodości, pamięta się niejedno w sposób przedziwnie żywy, dokładny, trwały. Zdarzenia drobne, nic nieznaczące, radosne i smutne; te zdarzenia tak śmiesznie małe, a przecież niesłychanie ważne i doniosłe dla dziecięcego umysłu i duszy — krajobrazy i twarze widywane i ukochane wtedy, uśmiechy i łzy wypłakiwane w jakimś ciemnym kąciku, słowa słodkie i słowa surowe, bolesne drgnięcia dziecięcego serduszka, przeczucia niejasne i łzawe, cichy szept ust drogich, ust ponad któremi wyrosła już mogiła, biało-różowa twarz ulubionej lalki i zimne spojrzenie stalowych oczu panny Berty, tej strasznej panny Berty która wielce wymownymi argumentami pierwsza starała się nas przekonać o konieczności uczenia się niemieckich słówek — wszystko to żyje gdzieś na dnie duszy, żyje niewidoczne i zapomniane niby oddawna, a jednak równie żywe i istotne jak za owych dni kiedy było nam jedyną radością lub smutkiem życia i dość czasem jednego słowa, spojrzenia, uśmiechu, dość nam zobaczyć z da-

leka wątły kontur brzózki który nam przypomni swoim kształtem jedną z tych co rosły tam u nas nad stawem, dość usłyszeć nagle melodyę chłopskiej piosenki, prostą, smutną, łagodną, podobną tej którą nas niegdyś usypiała niańka — aby wspomnienia owe odżyły nagle, powstały z tajemnej głębi, napłynęły jedne za drugiemi i stanęły przed nami w przedziwnej wyrazistości i sile.

Z owych lat nie zapomina się nic, ale pamiętając, upiększa się wszystko, upiększa bezwiednie, tęsknotą zmęczonego życiem serca, serca stęsknionego za onym promienistym wiekiem niewinności i ciszy — i upiększa się póty, aż się wspomnienia staną cudną legendą — Złotą Legendą przeszłości.

. . . . . .

Pamiętam dom mojej babki ciotecznej w Krakowie — dom w którym się wychowywałam w dzieciństwie. Pamiętam szereg pokoi smutnych, chłodnych, ciemnawych, zastawionych staromodnymi sprzętami, meblami z czasów cesarstwa odziedziczonymi po prababce i ciężkimi, niesmacznymi meblami z 1840 r., które babka wniosła mężowi w posagu. Pierwsze niesłychanie szanowane, mahoniowe, nabijane świecącym bronzem, ozdobne, kryte adamaszkiem amarantowym, grubym jak skóra, tłoczonym w wielkie atłasowe kwiaty miały wielką powagę i surowość rzeczy starych

a czcigodnych; drugie jasne, jesionowe, niekształtne i ciężkie, zniszczone codziennem używaniem, zeszpecone rysami i spaczone, odarte miejscami z forniru i stoczone przez robaki, kryte wypełzłą materyą zieloną w blado-błękitne kwiaty, miały fizyognomie starych, spracowanych poczciwców, istot pokornych i cichych, których się wiecznie potrzebuje i lekceważy równocześnie. Tymi meblami zastawione były trzy pierwsze pokoje, pokoje od podworca ciemne, trochę wilgotne — tamte stały w tak zwanym salonie i w przylegającym doń małym pokoju bawialnym. Salon był jasny, duży, zimny nawet w lecie i zdawał się być pustym mimo porozstawianych tu i owdzie mebli; przejmował on mnie zawsze napoły strachem, napoły szacunkiem, jak jakaś wielka, odosobniona, tajemnicza kaplica. Pamiętam deseń obicia, zwoje liści zielonych na tle czerwonawem i przyżółkłe muślinowe firanki na których ręka prababki rozrzuciła w misternym hafcie bukiety lilii białych i wątłych gałązek jaśminu. Stare meble z czasów cesarstwa stały sztywno popod ścianami, a od sufitu zwieszał się ozdobny, złocisty pająk z bronzu owinięty i zabezpieczony od much których tu nigdy nie bywało, białym muślinem. Takież same i tak samo osłonięte białymi pokrowcami świeczniki pobłyskiwały poprzez cienką tkaninę muślinu w czterech rogach salonu. Pod jedną ze ścian stał

sprzęt dziwny, staromodny szpinecik, niezmiernie długi na nóżkach wysokich, cienkich, rzeźbionych. Pamiętam głos jego drżący, cichutki — głos rozstrojonych i rdzą zjedzonych strun. Wyśpiewywał on piosenki stare, zapomniane — piosenki tkliwe i słodkie które zamilkły ze śmiercią babki i których nie słyszałam już potem nigdy — nigdy. Pamiętam także oryginalny kształt pulpitu, tworzył on lirę podtrzymywaną z obu stron przez małe, nagie amorki, których pucołowate, śmieszne twarzyczki były dla mnie przez długie lata wyrazem idealnego piękna.

Na małej mahoniowej komódce pod szklannym kloszem leżał zczerniały bukiecik wyrobiony... z chleba. Kwiatki były niekształtne, grube, niektóre pokruszyły się i rozpadły, inne sterczały odosobnione, zakurzone, brzydkie. Nigdy nie dowiedziałam się kto był twórcą tego dziwnego, nad wyraz wszelki brzydkiego bibelotu. Musiała to być jednak droga pamiątka — babka stawała przed nią często i milcząc wpatrywała się w zeschłe, niekształtne, połamane, czarne kwiatki. Jej błękitne, wybladłe oczy kryły wyraz gorżki — uporczywy — bolesny — usta drżały i przez twarz żółtawą, szczupłą szło nerwowe drżenie, coś jakby nieme łkanie zatajone we wnętrzu, jej istoty. Stała tak długo w milczeniu zapominając o wszystkiem, a potem zbudziwszy się nagle, odchodziła krokiem wolnym, ociężałym,

zgarbiona i jakby zestarzała. Wychodziłam z nią razem czepiając się rękami jej sukni, drętwiałam ze strachu. Czułam, że oto stało się tuż obok mnie coś bolesnego, niezrozumiałego, strasznego — że napłynęło ku mnie z bezmiernej dali — że stawało się żywem i szło obok nas, za nami. Żal przejmujący, okropny przejmował mnie nawskroś; wstrzymywałam całą siłą przerażenia krzyk, omdlewając na myśl, że może mu odpowiedzieć inny — tam... Surowe, ciemne oczy portretów szły za mną, czułam ich spojrzenie zimne, przenikające do głębi, okropne spojrzenie istot umarłych, wszystko wiedzących. I nagle obejmował nas błękit, jasność pokoju bawialnego, śmiały się do mnie błękitne kwiaty obicia na tle złocistem, kwiaty ogromne, dobre, śliczne. Pokoik był mały i pełen słońca. Sprzętów przeróżnych było tu tak wiele, że z trudnością można się było poruszać. Komódki z czasów cesarstwa, czerwonawe, nabijane bronzem, wykładane bogato perłową macicą — ciężkie krzesła mahoniowe obite czarną włosienicą — stare biureczko biało lakierowane malowane w różnokolorowe kwiaty i sceny pasterskie — fotel obity zieloną ceratą stojący w słońcu pod oknem — sekretarzyk i szafka oszklona kryjąca skarby: starą porcelanę, figurynki, koszyczki z kolorowej włóczki na bilety, zeschłe owoce marcepanowe i trochę dziwnie a niegdyś zbytkownie

oprawnych książek — wszystko to tłoczyło się w tym pokoiku małym i jasnym i mówiło o przeszłości. Z szuflad komódek biła mdła woń paczuli i zeschłych listków różanych i przepełniała powietrze.

Ogarniała mnie nagle wesołość — pusta ochota do figlów, śmiechu — trzeba jednak było być cicho, nie wolno tu było ruszać się, cóż dopiero skakać! Było tu tak ciasno — podczas więc kiedy ciało było nieruchome, oczy biegały, tańczyły, szalały. Na ścianach było pełno obrazów — piękna, wyrazista twarz Małego Kaprala powtarzała się tu co chwila, były to stare portrety i liczne sztychy odziedziczone po pradziadku Józefie, którego groźna twarz i ciemne, ostro patrzące oczy przerażały mnie tam w salonie. Był tu portret księcia Józefa i Kościuszki, były miniatury przedstawiające dawno zmarłych członków rodziny i ludzi znakomitych z owych czasów — ale nad wszystkie inne pociągał oczy portret prababki Marcyanny, tej którą staruszką osiemdziesięcioletnią pamiętała jeszcze moja matka i którą taką, zestarzałą, surową, o twarzy bolesnej, umęczonej zachował daguerotyp wiszący poniżej.

Ale z portretu śmiały się cudne, purpurowe usta, a oczy czarne, ogromne, upajające, patrzały — wołały — pieściły. Obnażone jej ramiona i piersi w obsłonce sukni błękitnej zwią-

zanej wysoko ponad stanem, miały przedziwne linie i przejrzystość złotawą staro-greckiego posągu. Włosy obfite, ciemne, wysoko zaczesane i skręcone na wierzchu głowy opadając wiły się po czole i koło uszu tysiącem drobnych, miękkich loczków. Smukłą jej szyję opasywały perły i spływając sznurem po piersiach ginęły poza rąbkiem stanika. Była to istota tak cudna jak marzenie o miłości; zdawała się być słabą, stworzoną do pieszczoty jeno i zbytku — w istocie jednak była to kobieta silna, nieugięta, surowa, wierna towarzyszka w doli i niedoli. Przez długie, długie lata, które jej było danem przeżyć ofiarne jej ręce sypały mogilę po mogile — patrzała jak klęski szły jedne za drugiemi — patrzała na rozwiewanie się wszystkich swoich marzeń i nadziei, na tryumf złej sprawy nad dobrą, na śmierci i gorsze od nich upadki i pozostała aż do końca wierną zasadom, pełną żywej wiary — ale cudne jej rysy ostrem, bezlitosnem dłutem pogłębiła troska i z starego wybladłego daguerotypu patrzała twarz wyniszczona, bolesna, przejmująca wyrazem wśród której jeno oczy duże i ciemne zachowały przedziwny blask i słodycz młodości.

Czasami babka otwierała biało lakierowane biureczko i porządkując otrzepywała z kurzu i układała przeróżne drobiazgi pożółkłe paczki listów powiązane zblakłemi, kolorowemi wstążecz-

kami. Z szuflad dzielonych, przegródkami i z małych górnych szufladek wydobywał się ów zapach niemiły właściwy starym trzymanym w zamknięciu papierom. Było to bowiem archiwum domowe to biureczko przepełnione starymi papierami, dyplomami szlacheckimi i wojskowymi, rachunkami domowymi i spisami wypraw ślubnych, starymi kalendarzami i notatnikami, w których ręka pradziadka Józefa kreśliła pismem niekształtnem, ciężkiem, ważniejsze wydarzenia rodzinne i publiczne. Były tu stare stambuchy z sentymentalnymi wierszykami które oplatały wieńce z lauru i róż rysowane niezręcznie i malowane jaskrawo ręką niewprawną widocznie i ciężką, przyzwyczajoną raczej do szabli, jak do ołówka i pędzla. Na jednej z kartek jakieś paluszki dziewczęce wyhaftowały jedwabiem bukiecik niezapominajek — pod spodem taż sama rączka wypisała starannie drobniutkiemi, okrągłemi literkami naiwne i śmieszne słowa, które dotąd jeszcze wypisują w pamiętnikach pensyonarki.

Były tu listy dziadka Erazma który zginął pod Ostrołęką i listy dwóch młodszych synów prababki Marcyanny, pisane z Sybiru — były tu listy tejże prababki pisywane do męża przez długie lata przebywającego na emigracyi; była tu cała historya rodziny — historya długa, męczeńska, bolesna.

W głębi szufladek małe puzderka i szka-

tułki ozdobnie w drzewie rzezane kryły drobne, mało wartościowe klejnoty, pierścioneczki stare i starte, krzyżyki pamiątkowe złote i srebrne lub też te żałobne krzyżyki drewniane, oprawne w metal na którym ryta data przypominała bolesny dzień klęski. Złocone i drobnymi kamyczkami sadzone medaliony kryły pierścienie włosów jasnych i ciemnych wiązanych kolorowym jedwabiem; w niektórych z nich oprócz włosów tkwiły małe miniatury, niezręczne malowidła na szkle lub porcelanie. Jeden z tych medalionów, powleczony błękitną emalią, na której gołąbek z białych perełek niósł w dzióbku zieloną gałązkę oliwy otwierała czasem babka i pokazywała mi drobny kawałek grubego, ciemnego sukna, zszarpany i jakby rdzą pokryty. Historya jego była równie prosta i smutna, jak te wszystkie inne, które cichymi wieczorami opowiadała mi babka. Błękitny ten medalionik nosiła na szyi prababka Helena najmłodsza i najpiękniejsza siostra Marcyanny. Był to dar narzeczonego który padł obok dziada Erazma na polu pod Ostrołęką. Przyjaciel przyniósł nieszczęsnej dziewczynie wraz z ostatniemi jego słowy kawałek sukna z munduru poszarpanego uderzeniem granatu. Sukno to było przesiąknięte, przepojone krwią umierającego. Dziewczyna przyjęła cios napozór spokojnie, zamknęła się w cichem, pokornem milczeniu. W błękitnym medalioniku

zamknęła ów strzęp krwawy i zawiesiła go na szyi — ale ciężar jego musiał być niewymownie ciężkim, przechodzącym jej biedne siły, bo chyliła się pod nim z dnia na dzień, niszczała i bladła. Umarła cicha z słodkim uśmiechem wyzwolenia na ustach. Była ona niewiele co starszą od mojej babki i ukochaną jej siostrą; babka ów medalionik wzięła i przechowywała przez całe życie z czcią najgłębszą — zamykał on bowiem w sobie życie dwojga istot najczystszych i najpiękniejszych, jakie jej danem było oglądać na ziemi.

A potem pamiątki i wspomnienia z czasów późniejszych — z roku 46 i 48 — i jeszcze późniejsze z roku 63-go. Te ostatnie były jako rany świeże, krwawiące. Ręce babki, ręce wychudłe, żółte, stare, któremi przekładała w szufladach owe drobiazgi, drżały silniej — usta zaciskały się kurczowo — oczy mętne zachodziły łzami. Nierzadko łzy te padały na owe papiery zżółkłe i wsiąkając w nie tworzyły duże, rozszerzające się, szarawe plamy — i wtedy to, głosem tłumionym przez łzy, tym głosem starym, rwącym się i głuchym opowiadała mi babka historye bolesne — odwracała kartę przeszłości bohaterskiej, rozpaczliwie beznadziejnej i smutnej.

Zamykałam oczy i słuchając bez tchu w piersiach, widziałam przed sobą morze krwi rozlane szeroko — szeroko.

Obrazy wielkie — przerażające — obrazy bitew rozpaczliwych, walk na śmierć i życie — wizye konania i długoletniej po więzieniach męki — ogromne, nieprzejrzane, lodowe pola północy — postaci wybladłe, szare, przykute na resztę życia do taczek — kazamaty podziemne i okropne, ociekające wilgocią ściany kopalni — wężowe bicze nahajki spadające na czyjeś obnażone, broczące krwią plecy — szerokie łuny pożarów — wszystko to powstawało przedemną żywe, potężne, straszne i zapadało w głąb mojej duszy, aby w niej niestartem niczem piętnem pozostać na zawsze.

I płakałyśmy długo obie — kobieta biedna, stara, znękana, stojąca nad grobem i dziewięcioletnie, smutne dziecko którego młoda duszyczka błądziła wśród Mogił Przeszłości.

. . . . . .

. . . . . .

Upłynęły lata — przyniosły z sobą łzy i troski, przyniosły rozczarowania, bóle, zawody — owo tępe, śmiertelne znużenie duszy spragnionej blasków. Istoty drogie, bliskie zsunęły się w grób, stały się przeszłością — czyste, jasne wspomnienia zatarły inne, ciemne i smutne.

I nagle jednego dnia — wypadkiem — na strychu wiejskiego domu należącego do bliskiego krewnego, szukając jakichś starych, porzuconych

książek, znajduję pod warstwą kurzu, słomy i starych płócien, połamane, zniszczone owo biało lakierowane biureczko malowane w barwne kwiaty i sceny pasterskie. I odnajduję coś więcej jeszcze — czyste marzenia lat dziecięcych, zachwyty pierwsze i pierwsze uniesienia i smutki — anielską miłość dziecięcego serduszka — współczucie głębokie, zupełne — całą tę przeszłość słoneczną i cudną, wszystkie wspomnienia dziecinne.

Stają one przedemną tak wyraziste, żywe — tak ukochane, bliskie, jedyne, że wszystkie te lata późniejsze nikną mi nagle i zacierają się w pamięci. Rękami drżącemi, z czcią, jak gdybym dotykała uwielbionej relikwii, odrzucam słomę, stare postrzępione płótna, ścieram kurz i oto różowa, znana twarzyczka małej pasterki uśmiecha się do mnie i mówi mi wiele, wiele rzeczy, za któremi od lat do obłędu tęskniło moje serce. Girlandy wite z kwiatów i owoców zwisają na tle białem, na łączce zielonej przeciętej błękitnym strumykiem pasą się białe owieczki — a dalej jeszcze plecami o pień smukłej brzózki oparty, gra na flecie pasterz poglądając w stronę kędy stromą, żółtą ścieżką zstępuje ku niemu ode wsi idąc młoda, bosa dziewczyna niosąca w fartuszku kwiaty.

O przedziwne! niepojęte! błękitne czasy —

niezrozumiałe dla naszych dusz smutnych, zszarpanych, umęczonych, starczych.

Z dławiącem biciem serca odsuwam szufladki — jedna, druga, trzecia — puste. Otwieram czwartą, najniższą i znajduję w głębi, wśród porwanych i zniszczonych starych papierów, pakiecik obwiązany wyblakłą wstążeczką, wstążeczką zdaje się niegdyś czerwoną, na którym pismem ciężkiem, niekształtnem skreślono te wyrazy:

»Listy najukochańszey małżonki mojey Marcyanny«.

Trzymam je w rękach nie śmiejąc otworzyć — z tajemnej, nieodgadniętej głębi, z dna mojej duszy patrzą ku mnie ogromne, czarne, upajające oczy — wychyla się postać tak cudna jak marzenie, postać smukła, biała, w obsłonce sukni błękitnej, związanej wysoko ponad stanem.

. . . . . .

. . . . . .

Z tych starych, zżółkłych, zniszczonych, porwanych kartek wśród których wielu brak, a nie wszystko da się odczytać, wybrałam kilka tych, które niejako łączą się w jedną całość jakkolwiek pisanemi były różnymi czasy, mniej więcej między rokiem 1832 a 1836-ym. Takie jakie znalazłam, nie poprawiając ich i nic w nich nie zmieniając prócz starej ortografii, przepisuję:

LIST I.

Warszawa, 18 maja 1832 r.

Drogi Józefie!

Po długich miesiącach trwożnego oczekiwania i bolesnego niepokoju, otrzymałam dzisiaj Twój list z dnia 20-go marca; poprzednie o których piszesz nie doszły a i ten byłby spotkał los podobny bo jenerałowa Dąb..... musiała pozostać w Dreźnie, gdyby nie łaskawość i odwaga jej siostrzenicy, która podjęła się prze wieźć liczne papiery i której to zawdzięczam chwilę prawdziwej radości — chwilę niezaznaną od miesięcy całych. Przyniosła mi ona sama twój list o zmroku i siedziałyśmy długą godzinę trzymając się za ręce i płacząc, nieznane sobie ale nieszczęściem bliskie — opowiadała mi wiele... Spodziewała się, że jej będę mogła dopomódz w zobaczeniu się z J....., ale to niepodobna — niepodobna odkąd Rosenowa wyjechała, zresztą kto wie czy on jeszcze tutaj, o wiadomość jakąkolwiek trudno. Odeszła łkając, za parę dni jedzie z powrotem, ma zabrać mój list, oby cię doszedł; myślę, że za miesiąc najdalej będziesz miał wiadomości o nas. A napisaćbym ci miała tyle — tyle — ani wiem od czego mam zacząć, myśl się plącze, napływają wspomnienia bolesne upłynionego szczęścia, nieszczęść tak niedawnych — wczorajszych. — Mamże ci

pisać znów o tem — tobie i tak dość nieszczęsnemu? ale inaczej byłżeby list mój szczerym? byłżeby rozmową duszy z duszą, rozmową do którejśmy od lat przywykli — za którą tęsknimy oddawna. Podaj mi ręce drogi i idźmy razem płacząc między groby marzeń naszych i ukochań najświętszych — ku tym mogiłom idźmy które się zawarły nad najdroższemi nam głowami... Erazm... Helenka...

Płaczę... nie miej ty mnie za słabą — za upadłą na duchu — wątpiącą... wierzę, że kiedyś... ale my tego nie doczekamy, ani nasze dzieci, ani wnuki nasze... a tymczasem coraz gorzej — gorzej — ciężej. Nic nam nie zostało prócz wiary serc, żeśmy spełnili świętą powinność. O gdyby krew mego dziecka kupiła była jeden choćby dzień złotej wolności! Na nic że było tyle krwie, męki, konania! na nic tyle zapału, miłości, wiary! — Nic nie zostało z tego jeno tych mogił wiela rozrzuconych po polach szerokich — po pustych polach Ostrołęki... Grochowa... Boremla... Powiedz ty mnie gdzie przepada duch ludzki, który marzył — rwał się — kochał i czynił! czy drgnieniom jego i wybuchom odpowiada głos wielki Wszechmocnej, Wszechwiedzącej Sprawiedliwości?!

Ratujże mnie Jezus od myśli — od obłąkanej myśli umęczonego bólem serca! pojrzę wstecz — pojrzę przed siebie — nic i nic —

gdzie dom nasz! gdzie ty! gdzie Erazm! gdzie ci drodzy, bliscy — najmilsi?! gdzie marzenia i wiara? kędy ta pewność złota Zwycięstwa i Wolności? Trumny jeno a groby a udręczenia okrutne. Och! zmęczoną jestem, zmęczoną, rozbolałą śmiertelnie do dna mej duszy. Z jakąż rozpaczą niewysłowioną budzę się co rano na nowy dzień cierpienia i troski, ale dzieciom trzeba pokazać twarz spokojną i pogodną, im co są tak jeszcze młode i ufne i słabe. Dzieci zdrowe — Marynia jest mi całą pomocą, chłopcy uczą się a celują w zachowaniu zacnem i pilności — dobre są to dzieci, niech ich Bóg błogosławi i niech mi ich zachowa... boję się... lękam...

Oto w nich budzi się najszlachetniejsza myśl, najczystszy poryw serca — budzi się duch wolny a ja matka zamiast radości i dumy, lęk jeno czuję dławiący i obłędną rozpacz na myśl... Oczyma ducha widzę jako nad ich głowami łopoce śmierć skrzydły czarnemi, jako okrąża ich i obejmuje nieprzejrzanym cieniem i nagle nikną mi ich jasne twarze w mgle łez, które wylewam płacząc żywych i umarłych. Gdy myślę że oto może idzie dzień... że może bliską jest chwila która mi ich zabierze i zadławi tak jak tamtego... Nie Józefie! nie myśl źle o mnie! słowo niegodne nie postało w ustach moich, nie usłyszały go odemnie dzieci nasze — ale tobie to mówię: życie moje jest jedną nieustającą męką,

umieram codziennie z niepokoju i trwogi; w głębi mej duszy plączą się uczucia niskie i tchórzliwe, ukrywane jak zbrodnia, a przecież tak potężne, niepokonane, niezwyciężone niczem! Przebacz mi! tyś mężczyzna! tyś silny! a ja jeno biedną, słabą kobietą jestem, nieszczęśliwą matką, która straciła już jedno dziecko najukochańsze — najdzielniejsze. — Pamiętam go jak szedł — widziałam go wtedy po raz ostatni — od wrót odwrócił się jeszcze i ręką słał mi pożegnanie; uśmiechał się... coś wołał... nie słyszałam słów. Spiął konia, tuman się wzniósł i zasłonił mi go w tejże chwili, potem go jeszcze zobaczyłam na skręcie, tam popod krzyżem — nie oglądając się poza siebie oddalał się od domu coraz bardziej — coraz bardziej — i potem już nigdy... Nieszczęśni, w których pamięć pozostaje żywa! którzy jako żywe groby noszą w sobie umarłe szczęście!...

O najmłodszych dzieciach nic ci jeszcze nie napisałam. — Jadwiżka wyrosła anibyś ją poznał, Anka i Ignaś także się dobrze miewają, wygrzecznieli nad podziw. Małe to więc głupiutkie jeszcze i wesołe, a figlików ma pełno w głowie. Jako promyczki jasne, słoneczne padają ich śmieszki radosne i słóweczka dziecięce na to życie nasze smutne — smutne, czarne.

Pytasz o nas — jako wiesz po konfiskacie Chmielowa trzeba było co tchu się stamtąd za-

bierać i przytuliska w Warszawie szukać, udzieliła go nam wujenka Piotrowa, a teraz od kilku już miesięcy jesteśmy u siebie — wujenka puścić nas zrazu nie chciała, potem prosiła aby jej choć dziewczęta pozostawić, ale ja się na to nie zgodziłam, bo to przecież nie na rok ani dwa, ale może i na resztę życia i jak tam jest to jest, ale razem zawsze najlepiej. Najęłam tedy u znanego ci bednarza Kosińskiego na Starem Mieście mieszkanie z dwóch izb i dużej kuchni się składające i tak się tam jakoś nie najgorzej mieścimy — przyciasno nieco po obszernym chmielowskim dworze ale dałby Bóg, aby to jedyną było przykrością. Kilkaset złp. z Chmielowa wywiozłam i rzeczy wszystkie z których teraz wyprzedaję co większe a zbytkowniejsze, bo i nam już niepotrzebne i w mieszkanku małem pomieścić się nie mogą. Bronikowscy mi stale procent płacą, obie z Marynią też coś nie coś haftem zarabiamy, tak się tedy jedno z drugiem łata, zresztą od wielu rzeczy odwykłam, do wielu przyzwyczaiłam się ostatnimi czasy. Życie płynie nam cicho, cały tydzień dla wszystkich zarówno w pracy, niedziele u krewnych a najczęściej już u Piotrów. Oni niezdrowi i postarzeli wielce, wujenka wygląda jak staruszka, przygięła się do ziemi, zgrzybiała — i u nich i wszędy kędy wzrok zapuścić smutno; w War-

szawie przygnębienie umysłów, żałoba serc trwa ciągle — cichsza ale może i głębsza jak przed rokiem. Naokół chodzą ludzie tak jakoby w nich zamarła dusza zmiażdżona uderzeniem wszechmocnej ręki. Niema domu kędyby nie płakano, nie wspominano. — Jeżeliśmy zawinili to kara ponad siły, biedne siły ludzkie. Ciężko sercu i myśli ciężko, że się dzieją rzeczy niesprawiedliwe, wołające o pomstę do nieba. Prześladowanie nie ustaje, raczej zwiększa się z dnia na dzień, aresztowania są tu na porządku dziennym i choć je tajemnica pokrywa my wiemy... Przychodzą cichaczem, nocą — porywają z pośród rodziny, gnają w zaświaty i przepada nieszczęsny i wieść o nim przepada, więc się mnie nie dziw, że o chłopców drżę,..

— A ty mój drogi?! list twój tak długi niewszystko mi mówił o tobie, niejedno dopowiedziała mi Jan... Więc taką cierpiałeś nędzę! więc i teraz od rana do nocy pracując zarabiasz ledwie na chleb suchy — i sam tam jesteś! a ja na to nic — nic poradzić nie mogę. Zadręcza mnie myśl, że mógłbyś zachorować. Tą samą okazyą posyłam ci 400 złp., wszystko co mam pod ręką; o nas się nie troszcz, my tu sobie damy radę, nam zawsze łatwiej — jak się znów jaka okazya trafi poślę co będę mogła, nas w ostatecznym razie wuj Piotr poratuje.

Gdyby nie dzieci jużby mnie tu nie było,

szłabym do Paryża choćby piechotą, choćby o żebranym chlebie. Zazdroszczę Woyczyńskiej która jedzie, choć prawdopodobnie na nędzę jedzie i wygnanie do końca życia. Przez Jabłonowskich staraj się z nią zapoznać, niejedno ci o nas powie, może listy przywiezie. Kłaniaj się Moch... i Butrymowiczom, ich rodziny tu zdrowe i dość im się dobrze powodzi, u Lach... jeno choroba, ona coraz gorzej. Tyle o nas i o najbliższych nam — trzeba kończyć, list i tak przydługi, boję się czy Jan... zechce go wziąć, pisałam tak dużo, obszernie, gdyby... mogłoby ją to skompromitować.

Och Józefie, kiedyż ja kiedy będę znów mieć słowo od ciebie! kiedy je będę mogła napisać? Drogi mój niech Bóg cię ma w swojej najwyższej opiece — płaczę — nie mogę pisać dalej. Całujemy twoje drogie ręce ja i dzieci.

Marcyanna.

P. S. Jako żądasz list następny i to wkrótce wyślę do Marly-le Roy pod adresem pana M. — ale się w nim wiele znaleźć nie spodziewaj, bo tu listy otwierają na poczcie, zwłaszcza te co do Francyi idą. A i ty pisz nie czekając na okazyę, jeno z ostrożnością wielką, a już najlepiej pod adresem panny Tomaszewskiej albo wujenki Piotrowej.

LIST II.

[1]) . . . . . .

albowiem po nadziei wielkiej a upadłej przygnębienie gorzkie i rozpacz ogólna, cicha, ale w sercu jako grot niewyrwany tkwiąca, jako że i ucisk z każdym dniem staje się większy a i spodziewać się nie można, żeby mogło być lepiej i oto my, któreśmy ochotnie oddały krew naszych serc, głowy naszych dzieci z świętą wiarą w zwycięstwo Sprawiedliwości, patrzeć musimy na tryumf złej sprawy nad dobrą i żyć w podwójnej żałobie umysłu i serca. I nie ostatnia to klęska ani koniec męki — iść będą lata i zapadać w wieczność a z niemi klęski i krzywdy niezapomniane, krzyczące i te dzieci które chowamy, których dusze rozkwitają jak cudne, tajemnicze kwiaty, na śmierć wczesną chowamy i na zagładę. Ach! nie doczekać tego, odejść — na onem cichem polu ledz kędy Erazm...

Widzę — sercem co jako jedna, krwawiąca jest rana odgaduję, przeczuwam... Przepłyną morza krwi, po pokoleniach przyjdą pokolenia, aż się z popiołów i krwie odrodzi świat i zmartwychwstanie Naród młody i silny, nie umarł bowiem jeno śpi jako on młodzieniaszek któremu Chrystus rzekł: »wstań!« Narzędziami je-

[1]) Początkowych i ostatnich kartek listu brakuje.

steśmy jeno w ręku Bożem, nieodgadnięty Wielki Cel.

Ja wiem — ja wierzę, ale sił czasem brak, boć jeno stworzeniem lichem jesteśmy, a dusza do miłowania skora drży wiecznie o te najdroższe, najbliższe...

Dzień dla mnie dzisiaj radosny, bo znowu z tobą mówić mogę tak, jakbyś tu przy mnie był, za ręce mnie trzymał i w oczy patrzał. Te listy co pocztą szły nieme były i mówiąc ci niby wiele o nas, mówiły tak mało. To też przebacz mi, że miast otuchy łzy ci jeno ślę, boć łzy są dzisiaj treścią mojej duszy. Wiem, żeś je w słowach spokojnych i pogodnych napozór znajdował pod zdarzeniami życia codziennego, pod drobiazgami kłopotliwego i smutnego istnienia; usta miałam zamknięte i ręce spętane — dzisiaj mówię... płaczę, wypłakuję przed tobą te łzy co mnie dławią, co kamieniem leżą mi na sercu. Przed kimże mówić będę? dzieci? mnie im rzec o tem nie wolno; niechaj marzeń ich nie kala zwątpienie, niechaj doświadczenie nie pęta im skrzydeł. Wiem — mogę ich stracić, ale nie mogę żyć z myślą, że mogłabym się ich wstydzić. Wszystkiem mi są — wiesz o tem — a jednak... gdyby dziś jeszcze przyszedł jeden z tych co mi zostali i rzekł mi: »idę« — umiałabym jeno błogosławić i nie wyciągnęłabym rąk żeby zatrzymać to, co mi najdroższe. Obłędem jestże

to czy ukochaniem, najboleśniejszem, szczytnem? A oni?... milczenie które wisi między nami, mówi — i oni wiedzą. Czasem, gdy mówimy o rzeczach niby obojętnych, nagle słowa rwą się wpół zdania i spotykam się z ich wzrokiem, oczyma które sięgają w głąb mojej duszy, rwą mi w kawały serce. Milczę, ale nie mogę rzec im: »nie« i wtedy to na twarze ich biją rumieńce, drżą usta niewymówionem słowem. O dzieci moje! dzieci moje!...

. . . . . .

LIST III.

Warszawa, 15 kwietnia 1833 r.

Drogi Józefie!

To wszystko co mi ostatnimi czasy piszesz, takie smutne i gorżkie! Poza tęsknotą twoją i biedą, poza opuszczeniem i cierpieniami wygnania, wyczuwam mękę ponad inne boleśniejszą, zwątpienie, które jako rdza żelazo żre serca i pleśnią śmiertelną kładzie się na mózgu. Brońże się ty zwątpieniu! broń się rozpaczy! myśli, że niema dla nas nadziei, ratunku, przyszłości — źle jest i może być gorzej, ciężko jest i może być ciężej — ale nam wątpić, ani rąk opuszczać nie wolno.

Pamiętasz nasze ostatnie widzenie? jakem was ku Modlinowi w odwrocie ciągnących dopadła, pamiętasz nasze pożegnanie w karczemce w Jabłonnej? Wpół obłąkana byłam z bólu i przerażenia, z myśli o tem co się stać może. Pamiętasz ty te słowa coś mi je rzekł wtedy, takie proste i silne i ufne. Dlaczego je dziś odrzucasz? bluźnisz? Józefie! drogi mój! dlaczego wyrzekasz się nadziei? Jakże niedawno jeszcze wierzyłeś święcie w to, że powrócisz wkrótce, że niebawem wszyscy staniecie napowrót w szeregach; tułactwo miało być jeno krótką i przejściową fazą. Bóg chciał inaczej, raczej nie przyjąć nam ciosu w milczeniu i pokorze? O gdybym mogła mówić dziś z Tobą! W okropnych latach ostatnich, w długich godzinach samotności i ciszy, wśród nocy spędzonych na rozpamiętywaniu i płaczu — niejedno stało mi się jasnem, zrozumiałem. Przeszłam przez Golgotę cierpienia, ale u szczytu otworzyły się oczy moje na światło; uwierzyłam w odwieczną sprawiedliwość. Nie przepada bez echa jeden jęk, jedna łza najnędzniejszego z maluczkich. Spojrzyj w przeszłość naszą i patrz w nią długo, uważnie, aż pojmiesz, że to co jest, zasłużoną jest karą. Płacimy za grzechy ojców, za kainowe braci naszych zbrodnie. Z dziecięcych lat pamiętam zdarzenie jedno o którem myśl sama mrozi mi krew w żyłach i które

straszne, wiecznie żywe powraca pamięci. Wśród nocy bezsennych, gdy jako zwykle Erazma wspominam i widzę go leżącego w polu z przestrzeloną piersią, na której sinym sznurkiem krew wyciekając skrzepła, obok niego widzę zawsze inne ciało, sine i poranione, oblepione krwią zakrzepłą, zczerniałą; widzę oczy z wściekłym i nienawistnym patrzące wyrazem z popod splątanych kudłów grzywy — usta umazane krwią, spękane i rozwarte wargi wśród których ostre, kończyste zęby pobłyskiwały jako zęby drapieżnego zwierza. Chłop to był, którego za kradzież dziadowego owsa i jakiejś tam wełnianki z lamusa, dworscy za sprawą ekonoma usiekli — i wtedy to tej myśli odegnać nie mogę, że dzieci nasze krwią swoją zapłaciły za dziadowskie grzechy, za wytoczoną krew braterską.

Dzieckiem będąc głodne lata w dziadowskim majątku pamiętam, festyny, uczty a uciechy ciągle we dworze — i te postacie widmom podobne, pół-nagie i sine, słaniające się popod płotami, ledwie żywe a ekonomskim biczem na pańszczyznę ganiane. Okropne ich oczy kędyś tam głęboko w twarzy osiadłe, błyszczące jako straszliwe żagwie, przerażały spojrzeniem upiorów.

A pamiętasz ty te stare papiery rodzinne, cośmy to je ze wstydem czytając palili nie chcąc, aby kiedyś w ręce naszych dzieci się

dostały? Pamiętasz ty, jako tam mieliśmy dowody, że za garść złota, za order cudzoziemski, za urząd, za tytuł marny i śmieszny — przedawało się to co najświętsze — Ojczyznę.

Pamiętasz te swary lat ostatnich? te kłótnie ciągłe, nieufność, prywatę, pychę i egoizm wielkich a do nienawiści dochodzącą zawistną zazdrość małych, te wszystkie nieszczęsne, płaskie, wewnętrzne walki które zgubiły sprawę.

Winniśmy! po trzykroć winni! brakiem miłości wzajemnej, karności i wiary. To co mi piszesz o emigracyi drze mi w kawały serce. Więc i tam, na obczyznę ponieśliście z sobą niezgodę, nieufność, rzucające się na oślep oszczerstwo. Nigdyż się to nie skończy? i wiecznie pośmiewiskiem będziemy narodów, owem źle wychowanem, krzykliwem, kapryśnem, a bezsilnem dzieckiem! Czego innego my od was czekali — my, którzy jeno milczeć i czekać musimy. Wiem, że niejedno wam się inaczej niż jest w istocie i gorzej wydaje, bo na wszystko patrzycie ćmionemi przez łzy oczyma — a los nie szczędzi wam ni bólu, ni wstydu, ni najboleśniejszych, najokrutniejszych zawodów. Wiem, że się od was odwracają ci, o których sądziliście, że wam otworzą ramiona; braterstwo ludów, jako i braterstwo ludzi w pieśni i w snach się dotąd jawi, ale nie w życiu. Klęska za klęską i ból za bólem biją w was nieustannie. Podajcie sobie ręce

o bracia! i stańcie ławą w twarz nawałnicy silni i cisi.

O kiedyż przyjdzie taki dzień...

Bolesno mi kochany Józefie, że Ci przynajmniej na razie nic posłać nie mogę, choć wiem dobrze w jakiej biedzie i potrzebie żyjesz. Czy obiecane Ci miejsce u panów Montrond masz nadzieję wkrótce otrzymać? Niepokoję się, przeczuwając że zapomoga, jaką od rządu francuskiego dostajesz wystarczyć ci na życie nie może, w Paryżu pono straszliwa drożyzna. Wiem przytem żeś Bukowskiego w chorobie ratował, a potem z nim przez większą część roku mieszkał. Nic nie piszesz jak jesteś z funduszami, ile Ci jeszcze pozostało, czy i ile zarabiasz? Jak tylko procent od Bronikowskich w lipcu odbiorę, zaraz Ci 200 złp. prześlę, chciałabym więcej, ale to będzie trudno, bo mnie w tym roku ciężko; z wywiezionej z Chmielowa sumki niewiele co zostało, a tu potrzeby duże. Chłopców edukacya w tym roku wiele więcej jak poprzednich lat kosztowała. Dzięki Bogu że wszyscy zdrowi jesteśmy.

Zrób mnie tę łaskę kochany Józefie i postaraj się zobaczyć z Malczewskim Józefem, który podobno w Paryżu mieszka. Powiedz mu, że się z matką jego widziałam, że jest chora, że jeno nadzieją zobaczenia go żyje. Pisać do niego nie może, bo adresu nie ma, a jego listy nie docho-

dzą, czy też on nie pisze. Ktoby ją widział jak wypłakiwała przedemną swoje wpół oślepłe oczy, od ciągłych łez i bezsenności krwawe, życzyłby jej rychłej śmierci zamiast tego życia w ciągłem udręczeniu i tęsknocie. Jedynego go miała, a teraz nie wie gdzie on, czy żyw, czy się jeszcze na tym świecie zobaczą. Zrób to dla mnie i koniecznie go odszukaj, bo podobno miał on jeszcze rok temu w Paryżu przy rue neuve de St. Eustache Nr. 98 mieszkać. Malczewską musisz chyba pamiętać, bo to nasza nawet dość blizka powinowata przez Butrymowiczów. Dowiedziawszy się przypadkiem od Różyckich że częste z Paryża miewam wiadomości, na chłopskim wozie dwanaście mil jadąc, wprost się tu z Radomia przywlokła i na Starem Mieście mnie odnalazłszy błagała, abyś Józefa w Paryżu odszukał i jaką wiadomość o nim jej nadesłał. Żal się patrzeć na taką mękę a i pocieszać trudno, bo nadziei żadnej aby wkrótce było lepiej niema.

Pozawczora Marynia i chłopcy listy do Ciebie wysłali w których wszystkie drobne szczegóły codziennego życia naszego znajdziesz. Jędrek mnie niepokoi, mizerny, milczący, słaby czy też nauką zmęczony; nad podziw się podobnym do Erazma robi, jego ma oczy, usta, czoło, jego serce gorące i do czynu skore; inne dzieci Bogu dziękować zdrowe.

Piszże nam często kochany Józefie, bo ka-

żdego listu z utęsknieniem a niepokojem serdecznym czekamy. Lękam się o Ciebie — twarz twoja droga i słowa twoje nie schodzą mi z pamięci; bolesno, że cię tak zniechęconym, przybitym widzę — zwątpienia się dla ciebie boję, zwątpienia które jest śmiercią duszy. Pisuj często a ja także...

. . . . . .

LIST IV.

Warszawa, 4 maja 1833 r.

Najdroższy Józefie!

List twój w tejże chwili otrzymałam i czytam go raz po raz, w większej części nie rozumiejąc. Piszesz mi z St. Laurent, więc widzę żeś już nie w Paryżu, ale dlaczego wyjechałeś? po co? próżno się domyśleć pragnę. Ostatnie twoje zdanie: »idę, bo w potrzebie może się na co przydam« napełnia mnie przerażeniem i niepokojem wielkim. Wiem, że wyraźniej pisać nie możesz, ale piszesz tak, że Bóg wie co mnie przychodzi do głowy — przecież ty nie... ale dlaczego do Szwajcaryi jedziesz? czy też gdzie dalej przez Szwajcaryę?

Na miłość boską Józefie odpisz mnie zaraz, jak tylko ten list otrzymasz. Do Butrymowicza

do Passy go wysyłam prosząc, aby go tobie przesłał — przecież on wie gdzie i po co jedziesz?

Nie wiesz nawet co się ze mną dzieje, tem więcej, że tu od dni kilku o uwięzieniu wprost z Paryża przybyłych mówią... więc jeżeli ty na ich miejsce!... nie! nie! szaleństwem by to było jeno, niczem więcej. Wiecie jakie tu siły?

Przecież ty na śmierć pewną z umysłu nie pójdziesz!! dzieci masz — ja mimo wszystko wierzę, że nas Bóg połączy, o przyszłości myśleć nie chcę, nie mogę inaczej. Ach! gdybyś wiedział, jakie ja tu dni przeżyję zanim wiadomość pewniejszą, zrozumialszą otrzymam! Nic nie rozumię z tego co piszesz, nic, a to co przeczuwam straszne. Pisz.

Twoja aż do śmierci

Marcyanna.

O Malczewskim nic nie piszesz — myślę, żeś albo mego ostatniego listu nie otrzymał, albo o niego dopytać się nie mógł. Biedna matka.

LIST V.

Warszawa, 18 grudnia 1833 r.

Spokojniejszą o Ciebie będąc Józefie kochany, jaśniej patrzę w przyszłość, choć tutaj od okro-

pnych dni majowych[1]) nad wyraz wszelki ciężko. Rok jeszcze temu, sądziliśmy że gorzej jak jest być nie może, teraz widzimy że jest nietylko gorzej, ale tak źle, że czasem wierzyć się nie chce aby to wszystko na co się codziennie patrzy było prawdą i zda się że to myśl obłąkana krwawe widziadła tworzy, straszliwe, nieludzkie złudy które znikną za chwilę jak niknie sen dławiący. A jednak to wszystko prawdą jest, a nam zaledwie część tej prawdy znana.

Ile łez! ile krwi! ile lęku! okropnych chwil udręczenia, szaleństwa, rozpaczy. Niech Bóg wybaczy tym którzy pchnęli tysiące na mękę i zagładę. Szaleństwo! okropne szaleństwo rozdartych dusz, rzucających się na oślep w ramiona śmierci. Nie trzeba było być czynnym, nie trzeba było być wplątanym, pozór, podejrzenie, drobnostka, jedno nic wystarcza — więzienia przepełnione... a los uwięzionych i ich rodzin... O Boże! czy też dasz skorzystać któremu pokoleniu z tych bólów, które dotąd zdają się być tak niepłodne w naukę! Bóg jeden wie Józefie, ile ja strasznych dni przeżyłam zanim list twój pisany z Genewy nas doszedł; potem znów miesiące całe nie miałam wiadomości żadnej, ani nie wiedziałam gdzie pisać, pod czyim adre-

---

[1]) 7 maja 1833 roku rozstrzelanie pierwszych emisaryuszy w Warszawie.

sem, dopiero wczora... Teraz we Francyi Cię widząc spokojniejszą jestem i dobrze żeś nie w Paryżu ale w Bezansonie osiadł, bo w małem mieście i zdrowo i taniej wyżyć można, tylko czy osamotnionym zbyt nie będziesz, naszych tam podobno już niema, tak przynajmniej pisał pułkownik Matusiewicz do siostry jeszcze w czerwcu i to już gdzieś z Normandyi dokąd mu kazano z żołnierzami wywędrować. Dlaczego ich tak przerzucają z miejsca na miejsce?

Jak jesteś z pieniędzmi? napisz mnie szczerze — te 50 fr. miesięcznie, które od rządu masz, starczyć ci chyba nie mogą? poślę co będę mogła, tylko mi daj adres pewny, albo wskaż okazyę.

Nie wyrzucaj mi że rzadko pisuję, bo jabym co dnia list słała, ale wiesz że to niepodobieństwem jest a i niebezpieczno; najczęściej więc okazyi pewnej czekam a i tak każdy list z nieopisanym lękiem wyprawiam, bo przejęcie któregokolwiek Bóg wie jakie nieszczęścia ściągnąćby mogło na nas, tak srogo wszelka komunikacya z wami jest ścigana. Ten list przez Joasię posyłam którą do matki do Krakowa jedzie i obiecała go na Podgórzu na austryackiej poczcie oddać, choć i austryackie poczty też podobno niepewne. Była chwila kiedym i ja o jechaniu do Krakowa myślała; przez Bartlów którzy kupieckie stosunki w Wiedniu mają, mo-

głabym była austryacki paszport dostać i do Szwajcaryi do Ciebie jechać. Przez tydzień żyłam tą myślą, w łzach, oczekiwaniu, gorączce, potem zastanowienie przyszło i trza się jej było wyrzec; o każdy grosz trudno, dzieci zostawiać niesposób, przytem stąd się do Krakowa dostać, mnie prawie niepodobna.

Kiedy my się Józefie zobaczym! i czy się zobaczym w tem życiu!

Dotąd wyrozumieć nie mogę dlaczegoś do Szwajcaryi jeździł, domyślam się tylko że w interesie naszej Matki [1]). Czy jest jaka nadzieja? Wieści które tu mamy o Rodzinie [2]) naszej, smutne, nieszczęsne echo swarów dochodzi aż tutaj; wiemy skąd one płyną i tem boleśniej, że t a c y właśnie prym wiodą. Wszak ich tu pamiętamy wszyscy, bo głośno było o nich i wiela się po nich spodziewano, ale do krzyków jedyni, uszli pierwsi i pierwsi zdrowi i cali stanęli we Francyi. Żaden z nich nie padł ofiarą, nie poległ w polu; w porę opuścili Warszawę, unosząc z sobą war szaleństwa i bezrozumną niezgodę [3]). Poszli burzyć, podżegać, rozprawiać i kłócić się tam, tak jak burzyli i kłócili się tutaj. Sprzeczając się o przyszłość nieznaną, tracicie z oczu

---

[1]) Ojczyzny.

[2]) Emigracyi.

[3]) Mowa tu o osławionych klubistach warszawskich.

rzeczywistość nieszczęsną. Aż dziwno że takie masy idą na lep słów szalonych. Boże, zmiłuj się nad nami!

Za kilka dni święta — nie pierwsze to w żałobie i samotności spędzone. Bóg by dał by ostatniemi były, byśmy na rok przyszły byli znów razem. Czasem zda mi się że to było wczora, nasze szczęśliwe chmielowskie wieczory, kiedyśmy wieńcem stół w jadalni obsiedli, gwarząc, śmiejąc się, odpoczywając, szczęśliwi, spokojni. Wspomnienie to powraca nieustannie, w długie, zimowe wieczory przedemną staje, najdrobniejsze szczegóły na pamięć przywodzi i przesuwa je przed oślepionemi przez łzy oczyma jako ziarnka nieskończonego, bolesnego różańca. Iluż nam brak dziś przy rodzinnym stole!

Od kilku już miesięcy chodzi za mną myśl, nie opuszcza mnie dniem i nocą, szepce mi słodkie, obiecujące ciszę i odpoczynek słowa. Na Boga! Józefie nie odrzucaj jej odrazu, pomyśl czy się nie da wykonać. Zgadujesz może że myślę o zamieszkaniu stałem w Krakowie. Joasi prosiłam żeby mi się o niejedno wywiedziała, pisałam do Bartlów. Za jakiś czas mógłbyś i ty się z nami połączyć — bylibyśmy razem... Józefie... i dzieci! chłopcy! Tutaj życie straszne, niebezpieczeństwa pełne, tem straszliwsze że nie wiadomo kędy się ono kryje i skąd się na nas rzuci, a wyczuwa się je ciągle, okrążające

nas coraz węższem kołem, ciche, tajemnicze, czające się w mroku, spragnione krwi i łez — nieubłagane. Wiem żeby z serca wyłamać trzeba wiele, wiele porzucić, wyrzec się z żalem, bośmy duszą wrośli w te groby. Strasznie pomyśleć, że trzeba odwrócić twarz i odejść, ale od ostatnich zajść, od ostatnich aresztowań, ja wpół obłąkana z przerażenia jestem, co dnia wyczekuję nieszczęścia, zasypiam i budzę się z straszną myślą!...

Interesy dadzą się ułożyć. Sumkę od Bronikowskich możeby się udało odebrać — byłaby na początek, potem znalazłaby się praca, choćby do warsztatu czy kupiectwa stanąć, niczego się nie powstydzę, byle uczciwa.

Napisz mnie co o tem sądzisz a napisz prędko, listu twego niecierpliwie czekać będziemy. Kończę list, jako że już i papieru nie staje — pozdrawiam cię całem sercem i Bogu oddaję. Dzieci ręce twoje całują.

Marcyanna.

LIST VI.

Warszawa, 12 września 1834 r.

Kochany Józefie!

Od siedmiu miesięcy żadnej od Ciebie wiadomości nie mamy. Trzy razy pisałam do Be-

zansonu pod adresem pani Gilbert, dwa razy do Paryża do Butrymowicza, dowiadywałam się przez ludzi i znikąd — znikąd żadnej wieści. Pojmujesz co się ze mną dzieje. Piszę znów do Bezanson, już bez nadziei żadnej aby cię list doszedł, bez nadziei abym odpowiedź rychłą mogła otrzymać. Gubię się w domysłach bolesnych, przeczuwam nieszczęście, to znów czepiam się tej myśli, że nas twe listy nie dochodzą, że je przejmują i niszczą na poczcie. Nie lękam się tego wiedząc z jaką ostrożnością pisujesz. Jeno ten niepokój ciągły o ciebie...

A u nas wszystko po staremu. Maryni chwilowo w domu niema, już czwarty miesiąc jak u Jaskólskich na wsi siedzi. Warszawa jej nie służy, wymizerowała się bardzo, więc ją o powrót nie naglę. Jędruś też parę tygodni u nich przebył, dopiero pozawczora wrócił. Reszta ze mną, zdrowa dzięki Bogu i wesoła; tak to młodość nawet na całun żałobny rzuca garściami złoto i skrzące dyamenty, jasne i zwodnicze nadzieje, stubarwne kwiaty słów i myśli, błękitne upojenie serc — i wierzy... wierzy...

Tej wiary w przyszłość, w przyszłość szczęsną i jasną ja im zazdroszczę. Od pozawczora w dziwnem rozpłomienieniu serc żyjemy. Jędruś przywiózł książkę... wy ją tam znacie, bo to pana Mickiewicza »D z i a d y« część trzecia, jeszcze zimą z druku wyszła. Dobiegły nas one

tutaj i tajemnemi drogami z domu do domu, z rąk do rąk krążą. Dobiegły jako ogromny światem wstrząsający jęk i odpowiedziały mu jękiem polskie piersi.

Czytujemy nocami przy drzwiach zaryglowanych, przy zasłoniętych szczelnie oknach, przy jedynej, małej, ledwie że migocącej świeczce. Najmniejszy szmer w sieni, na schodach, świeczka gaśnie, serce zda się rozrywać piersi, ręce ściskają kurczowo małą, zniszczoną książczynę. I znów po chwili długiej, bolesnej, szarpiącej, drżącemi rękoma zapalamy lichą świeczkę i czytamy głosem rwącym się, stłumionym. Słowa gubią się wśród łez, łzy padają i wsiąkają w te karty pisane Krwią Męki Serdecznej. I znowu wyciągają się po nie inne ręce i znów padają na nie inne łzy — i stają się one karty wielką łzawnicą serc, męczeńską relikwią boleści.

Ach te słowa zasłyszane wczora, słowa święte i okrutne, zapamiętane i jakoby wypalone krwawemi zgłoskami na sercu! Stoją one ciągle przedemną, rysują się w przestrzeni jako złowróżbne Mane, Tekel, Fares przyszłości — wżerają się w mózg, czepiają się warg które je powtarzają... szepcą...

Długie — białe dróg krzyżowych biegi —
Drogi długie — nie dojrzeć przez puszcze, przez śniegi:

Wszystkie na północ! Tam, tam w kraj daleki,
Płyną jak rzeki.
. . . . . .
Patrz! po drogach leci
Tłum wozów; jako chmury wiatrami pędzone,
Wszystkie tam w jedną stronę.
Ach! Panie! to nasze dzieci,
Tam na północ. — Panie, Panie!
Takiż to los ich — wygnanie!
I dasz ich wszystkich wygubić za młodu?

. . . . . .

Straszliwe słowa! uderzające w serce jako ognisty, śmierć niosący miecz, zostawiające niezabliźnione rany, rany płomienne od krwi. Straszliwe słowa rozdzierające ciemną zasłonę przyszłości i dające patrzeć... widzieć... Okropna moc przeczuć i przerażeń wstrząsa duszą stawiając jej przed oczy obrazy męki i śmierci, przyszłości ciemnej i przeszłości krwawej, teraźniejszości niemej i rozpacznej jak grób...

Józefie! nie wiem co się ze mną dzieje — chora chyba jestem... straszne przeżywam dni... resztkami sił kryję stan mój przed dziećmi... ale dłużej tak się męczyć [1]) . . . . . .

. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .
. . . . . .

[1]) Dalszych kart listu brakuje.

LIST VII.

Warszawa, 9 listopada 1836.

Nic Ci Józefie drogi donieść nie mogę, żadnych bliższych szczegółów, bo sama nic nie wiem. Pewnem jest jeno to, że żyją obaj, że miesiąc temu ich stąd wywieźli, że Jędruś skazany na dwadzieścia, Władzio na piętnaście lat ciężkich robót. Ale dokąd ich wiodą!? co z nimi? jak się miewają, jak te siedem miesięcy więzienia przetrzymali, przez jakie przeszli męki! Bóg jeno wie i Bóg je im policzy. Śledztwo, rozprawa, ogłoszenie wyroku, wszystko się w tajemnicy odbyło... nikt nie był dopuszczony... Ani na jedną chwilę nie pozwolono mi się z nimi zobaczyć, mimo że różnemi drogami kołatałam, przed niczem się nie cofając, przed upodleniem nawet, u nóg się im włócząc — oprawcom!

Ileżem się ja godzin popod bramami więziennemi nastała, ile godzin po kancelaryach i przedpokojach żandarmskich czekając daremno. W końcu mówić nawet z nimi nie żądałam, niechby mnie otoczono straży tysiącem, byle raz zawisnąć spojrzeniem u ich twarzy i pamięć tego spojrzenia zanieść z sobą do grobu, bo wiem, że ich już nie zobaczę w życiu, że próżno nadzieją łudzić serce, nadzieją szaloną której myśl trzeźwa przeczy, że oni dla mnie straceni na zawsze — na zawsze.

Nie wiedziałam o dniu w którym ich wywieziono; dopiero w tydzień potem w kancelaryi więziennej będąc proszę: niechby mnie pozwolili choć na sekundę w oczy im spojrzeć, a Ignatiew na to: »Niech pani nie prosi darmo, ich tu już niema.«

W pierwszej chwili zrozumiałam, że nie żyją...

. . . . . .

Niema nawet nadziei Józefie, byśmy jaką wiadomość o nich mieć mogli — dla nas tak jak umarli... nie zobaczym... nie usłyszym o nich więcej... i nigdy — i nigdy razem... Czyż nie lepsza śmierć?! Dwadzieścia lat! ależ to życie całe! dwadzieścia lat powolnego konania, męki! jeżeli nawet przetrzymają i wrócą... będąż oni nasi. Władzio szesnaście lat zaledwie kończy — dziecko. O jakże śmierć Erazma lekką była, piękną i słodką, w porównaniu z ich dolą!

Miesiąc już jak ich wywieźli, a z nimi Januszewiczów obu, Kierdela, Mańkowskiego, Swobodę, Zaruskiego Jana i Andrzeja i wielu, wielu innych. Lewittu nie przetrzymał męczarni śledztwa i życie sobie odebrał w więzieniu. Już miesiąc jak ich gnają przez pustynie śnieżne, nieobjęte wzrokiem, ogromne... Tam...

O dzieci moje! o nieszczęsne! Widzę was, widzę jakobym śmiertelnemi patrzała ku wam oczyma. Długim szeregiem idą, łańcuchami

skuci, długim szeregiem czarne ciągną za nimi kibitki!

Gdzie kres!

O nie samotni wy idziecie! wygnani! śladami waszych stóp wlecze się rozbolała dusza moja — dusza Matek Waszych.

Widzę!... oto z ciał tych skowanych, z tych wozów pogrzebnych, czarnych, my matki budujemy ołtarz — stos ofiarny, sięgający nieba. A na szczycie jego kładziemy serce nasze, okrwawione Serce Narodu, jako pochodnia świecące, palące się wielkim płomieniem ofiary, wołając:

Tobie Ojczyzno!

Zakopane, 19 września 1902.

ZA TE NAJBIEDNIEJSZE...

Wiosenka była wczesna, ciepła, słoneczna — taka co to zdaje się być jedną wielką pieśnią radości i wesela. Zazieleniły się łąki i wyrzuciły z siebie moc kwiecia, złocistych mleczów, liliowych dzwoneczków, drobnych białych stokroci, niezapominajek błękitnych, które w miejscach wilgotniejszych i niżej położonych rosły taką masą, iż zdawały się być oderwanym i spadłym na ziemię kawałkiem błękitnego nieba. Blado-niebieskie oczy ślazu, wyścielającego rowy przydrożne, poglądały poprzez łzy rosy z uśmiechem wpół-smutnym, wpół-litosnym. Patrzały one bowiem codziennie na takie rzeczy o których się »filozofom nie śniło« — na straszliwy, ponad siły trud pełzających mrówek — na zimne okrucieństwo oślizgłych gąsienic — na próżniaczy, szczęsny żywot motyla.

Wielkie, nieprzejrzane morze zieleni świeżej i jasnej zdawało się zalewać świat; przebujna, zwycięska rozpościerała się szeroko po ziemi, wybuchała z za opłotków i wpół-rozwalonego muru dworskiego ogrodu, czepiała się strzech

chłopskich chat, wypełzała z popod kamieni przydrożnych, wpół-przygnieciona, przysypana pyłem, nierzadko zdeptana nogą przechodnia, zieleniła się przecież i radowała życiu. Z drzew kwitnących, co wśród młodej zieleni trawników stały jako ogromne, blado-różowe bukiety, poczynały już opadać kwiaty i za każdym powiewem wiatru gubiły moc płateczków różanych i białych. Rosochate, prostacze wierzby rozpościerały zielone, silne pędy, a smukłe, stojące wśród łąki brzózki o pniach wątłych, bieluchnych, rozpuszczały na wiatr wiotkie, drżące gałązki, wśród których wiatr wyśpiewywał przedziwną, słodką, łkającą piosenkę. Strumienie rwały z gór i spadały po pochyłości gruntu obfite, szumiące, a wikliny i kępy osiczyny które je obsiadły po brzegach, aż drżały od ptaszęcych, radosnych głosów i z wielką radością rzeczy odradzających się na nowo kąpały swoje młode pędy w słońcu i przeźroczystych wodach strumienia.

A ponad tem wszystkiem rozciągał się błękit jednostajny — przeczysty — gorący.

Wiosenka była wczesna, radosna.

Drogą, co jak biała, wązka wstęga wiła się wśród pól zielonych, ogromnych, i prowadziła ode wsi pod górę ku cmentarzykowi który osiadł na wzgórzu i opierając się o ścianę zielonej dąbrowy górował nad okolicą — szła młoda dziewczyna. Szła wolno, z głową wzniesioną,

z twarzą poddaną palącej pieszczocie promieni słonecznych, z rękami, opuszczonemi wzdłuż ciała ruchem bezwoli i niezmiernego zmęczenia. Wielkie, ciemne oczy, co jako dwie bezdenne przepaście otwierały się światu, wbiła w przestrzeń świetlaną, ale nie widziała nic naokół, ani tej zieleni młodej i cudnej, ani tych blasków złocistych i błękitnych, ani tej całej wiosenki radosnej, jeno mury szare, ogromne, z dziecinnych lat zapamiętane, omijane niegdyś z przerażeniem i tem ściśnięciem serca, co jest wspomnieniem i przeczuciem zarazem. Mury, popod którymi stara Wiselka toczy szarawe wody i płacze i opowiada.

Dziewczyna idzie i zamiast ptaszęcych rozśpiewanych głosów owo płakanie Wiselki słyszy i owe słowa, z których każde zdaje się być ryte na sercu i krwią nabiegłe. Łzy jej napływają do oczu — łzy gorzkie, palące. I w tej mgle łez gorących jawi się nagle przed nią twarz ukochana, jasne, śmiałe oczy, usta dobre, najdroższe.

— Gdzieżeś ty Stefku teraz, gdzieżeś ty? — szepce z rozpaczą.

I nagle załamuje ręce i tym przestrzeniom radosnym, tej odradzającej się ziemi, temu błękitnemu niebu rzuca pytanie:

— I za co!? — po co!

Na cmentarzyk wiejski weszła i na pierw-

szej z brzegu zieloną darnią obrosłej mogiłce siadła. Przychodzi tu tak co dnia i co dnia między mogiłkami siada, od chwili, kiedy się dowiedziała, że nad jej marzeniem o szczęściu zawarła się mogiła.

Siedzi długo i znów nic nie widzi naokół, jeno te straszne mury i brudne, żółte fale płynącej wody i te oczy ukochane, patrzące ku niej z oddali z przedziwnym wyrazem. Ogarnia ją szalony huragan boleści, z rozdzierającym krzykiem na mogiłkę pada, obejmuje ją ramionami, wciska twarz w świeże i wilgotne trawy i płacze — płacze.

A tymczasem od strony lasku staruszeczka zgarbiona idzie, kijkiem się podpiera, zmrużonemi oczami co jakby szkiełka matowe tkwią w zaczerwienionej szparze powiek, w słonko patrzy. Spodniczyna na niej licha, druczkowa, na plecach zamiast chusty płachta z zgrzebnego płótna, perkalikiem spłowiałym okręcona głowa. Idzie wolno, suwając nogami, obutemi w skórzane łapcie, rzemyczkiem przy kostce ściągnięte i zaguźlone. Na szyi ma różańców kilkoro i medalików różnych wiele i skaplerzyki zniszczone, zczerniałe od potu. Wszystko to jako te dzwoneczki dzwoni i pobrzękuje za każdym ruchem głowy, za każdem stąpnięciem.

Dziadowina idzie i rozgląda się i jakby czegoś upatruje — chyli się raz i drugi i jakieś

ziółeczko zrywa i do torby skórzanej, co ją ma u boku, chowa. Nagle dziewczynę rozciągniętą na mogile ujrzała, przystanęła, siwą głową od wielkiego zdziwienia i współczucia kiwa, zczerniałe, wyschłe, siecią żył zgrubiałych i zmarszczek głębokich pokryte rączęta jak do modlitwy składa i na piersiach zaciska.

Na sąsiedniej mogiłce wreszcie przysiadła, kijaczek obok siebie położyła, jako i torbę i ku tej płaczącej panieneczce patrzy i dziwuje się i paciorek za tę udręczoną duszyczkę szepce.

I mija godzina jedna i druga — bieluteńkie chmurki gonią się po błękicie, od lasu wiaterek niesie zapach żywicy i listków i gałązek szumiące granie — potoczek kędyś tam dudni po kamieniach, a w wybujałej trawie cmentarzyska radują się i trzepocą ptaszki. Ode wsi słychać porykiwanie bydła i ludzkich głosów nawoływanie dalekie.

Aż tu nagle jak ten dzwon kościelny nie zacznie dzwonić cieniutko, srebrzyście, jako to anielskie śpiewanie. Starowina aż ręce silniej zacisnęła na piersiach z wielkiej radości i uśmiecha się i słucha.

Dziewczyna także oderwała twarz od ziemi i w żółtą, jakoby z wosku ulepioną, zeschłą i drobną twarz babiny patrzy.

I patrzą tak na siebie przez chwilę, wreszcie starowina się odzywa:

— A kogóż to macie w tej mogiłce panienko?

— Nikogo, tak przyszłam.

— Ze dworaście są?

— Nauczycielką jestem we dworze.

— Znam, znam — paniczyk będzie miał na święty Michał osiem roczków, a panienka cosi ze sześć wnetki skończy, a i państwo poczciwe ludzie som, poczciwe — a wyście skąd rodem?

— Ja, z Warszawy.

Zamilkły — dziewczyna głowę o stary, drewniany krzyż mogilny oparła, patrzy w przestrzeń i milczy. Babina w twarz się jej zapatrzyła, w twarz zsiniałą i nabrzmiałą od łez, w wielkie, rozwarte szeroko, pełne przerażenia oczy.

I wreszcie zaczyna mówić głosikiem trzęsącym się, cichutkim:

— Napatrzyła ja się ludzkiemu płakaniu, napatrzyła, jako że już trzydziesty i czwarty roczek tak z tym kijaczkiem pomiędzy narodem chodzę. Paniezusik źródełeczka dał przy drogach, a i dobre ludzie chleba a i grosika coś nie coś przyrzucą — tako se więc żyję jako te ptaki, z Panajezusowy łaski — hej. Światam ci kawałek niemały schodziła, bo i Kraków znam i Kalwaryję i Częstochowę świętą i na Ostrej Bramie krzyżem ligała, a wszędy jeno panienko droga ludzkie płakanie i ludzkie płakanie słychać. Taka ci już dola na tej bożej ziemi, co trza

cierpieć i cierpieć, aby się potem z Panie zusem w niebiesiech módz godnie radować.

Abo i ja — napłakała ja się niemało — oj! niemało — aże mi te śluzy w oczyskach wyschły do imentu. Chłopa my w lesie buczek przywalił, chorzał mi roczek cały, ej! Panie Jezu, gorżki to był roczek. A potem ci z pięciergiem ostała sama, że to najstarszemu na siódmy rok szło dopiero — a tu jeno chałupina bele jaka i tych zagoneczków pod ziemniaczki śtyry i te dwie ręce jeno. Alem ci się tam nie dała i takem ci się z tą bidą żarła, że co ona do mnie, to ja do nie z pazurami i żenię ci ją z chałupy, że hej... Takem ci się i odgryzła co nieco i chłopacyska mi podrosły jako te śwircki Myślałam se, siondne se teraz pod piecem, pacioreczki będę mówić, dzieciami się radować. Ot, ludzkie pomyślenie — boskie zarządzenie. Najstarszego my wzieni do wojska, tylem go i widziała. Młodszy kajsi w świat wywędrował, za robotą panienko, jako że z wiesną bieda gryzła, że ni rady. Roczek za roczkiem leci, ano już i trzydziesty piąty na św. Jana będzie, a o nim ani słychu ani dychu, musi być pomarł kędyś czy co. Dziewka mi się zmarnowała, bo to urodna straśnie była i uroda ją zgubiela. Za pokojówkę ją wzieni do dwora — potem ci do miasta zbiegła, ot co. A dwoje najmłodszych to mi krosty wzieny...

Chałupinę żydzisko zabrało za długi, że się to, to i owo na borg brało, jako i tę ziemię świętą — i po kłopocie.

Wzięła ci ja panienko droga kijaczek do ręki i poszła z płakaniem w teli świat. Ot, płakaniem jest dola człowiecza, umartwieniem ciężkiem jeno i tyle. Lepiej tym, co se tam pod mogiłkami śpią, oj! lepiej.

Ale my się tam z Paniezusem o wesele i radość prawować nie możem — oj nie. Jako że on cierpiał za nas wszystkie, bogate i bidne, złe i sprawiedliwe, a osobliwie za te najbiedniejsze. Bo to jako go one żołdaki w ogrojcu pojmali i przed sąd stawili, tak Paniezus onego niesprawiedliwego sądu słuchając, jeno oczka miłosierne w niebo wzniósł i onę mękę za te sędzie niesprawiedliwe a przekupne Ojcu Przedwiecznemu ofiarował. A potem, gdy mu koronę cierniową na przenajświętszą główkę wciśli i onym płaszczem czerwoniuśkim go okryli i na pośmiewisko dali, królem go zwąc, a w przenajświętszą twarzyczkę mu plując, ofiarował tę mękę za króle a możne świata tego, w złocie a purpurze, we krwie a krzywdzie ludzkiej chodzące. A potem krzyż przenajświętszy na ramionkach dźwigając, modlił się Paniezus za te wszyćkie w ciężkiej pracy jako w jarzmie chodzące. I szedł ci tak długo aż popod samą Kalwaryję, pod ciężarem onego krzyża często padając

i potem się zlewając z umęczenia okrutnego. Aliści na onej górze stanąwszy tę swoją mękę największą a ostatnią, jako rączek przenajświętszych przebicie i ukrzyżowanie, długie godziny konania, żółcią i octem napojenie, naigrawania się tłuszczy, całą oną mękę śmiertelną ofiarował Paniezus za te najbiedniejsze, co ani doma nikąd ani ziemie nie mają i w upodleniu a nędzy wielkiej żyją, przez wszystkie odepchnięte i zapomniane, a krzywdą jako chlebem codziennym karmione...

. . . . . .

Dziewczyna słucha i płacze cichemi, dobremi łzami uwielbienia. W rosie tych łez rozkwita jej dusza w przeczysty, nieziemski kwiat Wszechmiłości. Rozumie, że są męki jako siejba stokrotnego ziarna i konania które dają życie. Rozumie wiele rzeczy, które zdały się jej wpierw ciemnemi i okrutnemi. Jej osobisty ból maleje, rozpływa się, znika. Cudowna wiara duszy, oddającej się zupełnie na całopalną ofiarę miłości, przenika ją do głębi. Oczyma ducha widzi ukochaną i najdroższą głowę, wzniesioną wysoko ponad tłumy, na drzewie niewidzialnego krzyża i umęczoną za te najbiedniejsze.

Widzi ją i rozumie.

Zakopane 24 lipca 1902 r.

WIEROCZKA

OPOWIADANIE

»Wspomnieniom najczystszego ukochania w zaraniu młodości — łzawej pamięci umęczonej duszy dziecka«.

Długie, popołudniowe godziny spędzała Wieroczka samotnie, siedząc w jadalni na oknie i niby to ucząc się i powtarzając lekcye na dzień następny, a właściwie poglądając bezmyślnie na żółtą ścianę oficyn, wsłuchując się w wieczne kłótnie pijanej stróżki z praczką z suteryn, w brzęczenie rozstrojonych katarynek, nawoływania przekupniów, krzyki dzieci, które tarzały się w kale podworca zziajane, obszarpane, brudne. Patrzała na to wszystko codziennie od roku, uporczywie a obojętnie — patrzała rzeczby można nie widząc, bo podczas kiedy oczy błądziły po ścianie suteryn, po twarzach przechodniów i mieszkańców domu, po nierównym, błotem zlanym bruku podworca, podczas kiedy się czepiały zeschłych gałązek wątłej brzózki, która wśród kamieni dziedzińca wiodła suchotniczy żywot — myśl jej była daleko, u progu dni jaśniejszych, u dalekiego progu drzwi zatrzaśniętych na zawsze. Wznosiła oczy ku okienku trzeciego piętra oficyn i widziała tam cudownym zmysłem roztęsknionego serca—

istoty, które odeszły, uśmiechy co kwitną tam kędyś, kwitną nie dla niej, spojrzenia mówiące niegdyś tyle, chwytane w lot, odwzajemniane milczącym, smutnym uśmiechem w który kładła całą swą duszę, biedną duszę nieszczęśliwego dziecka.

Chwilami złudzenie było tak silne, tak żywe, że Wieroczka wśród zielonych gałązek fuksyi, kwitnących czerwonawym kwiatem na owem okienku, spostrzegała bladą twarzyczkę Józi, jej szare, słodkie oczy, jasne pasemka jej włosów które jak złota przędza spływały wśród zwisających gałązek fuksyi, wśród drżących na cienkiej łodyżce purpurowych kwiatów. Dopiero ostry gwizd kosa, który się w małej klateczce, powyżej owych kwiatków zawieszonej, kołysał, budził ją gwałtownie z marzenia i wtedy to z gorzkiem i dziwnem w tym wieku szyderstwem, śmiała się cichutko z siebie, z swoich marzeń i złudzeń, z swoich tęsknot i omamień — śmiała się wykrzywionemi boleśnie usty, śmiechem tłumiąc łzy i łkania które jej drgały w gardle. Ale były i dni niemocy i lęku, kiedy oparłszy głowę o framugę okna, płakała gwałtownie a cicho, okropnemi łzami, z których każda z śmiertelnym bólem wypływała z pod serca, serca, co jak wielka, rozjątrzona rana rozrywało jej spazmem bolesnym piersi.

Najczęściej działo się to w te dni, kiedy jej

matka, Darya Aleksandrowna, wychodziła zaraz po obiedzie z domu, nierzadko z Sergiuszem Piotrowiczem, kiedy ojciec jak codziennie wymykał się cichaczem do »kasyna«, a Katarzyna, korzystając z nieobecności państwa, szła z dieńszczykiem na piwo do poblizkiego szynku.

Dnie takie zdarzały się często, trzy, cztery razy na tydzień, i wtedy to Wieroczka wypłakiwała się do woli, aż umęczona fizycznie, z płonącą głową, z rozbolałemi kośćmi wlokła się na swoje posłanie w korytarzu za przepierzeniem, ciskała się na małe za krótkie już dla niej łóżeczko i zasypiała ciężkim, chorobliwym snem umęczonego fizycznie stworzenia nie doczekawszy się najczęściej powrotu matki ni Katarzyny.

Aż znowu ranne słońce budziło ją bezlitośnie na nowy, długi, smutny dzień, na wielogodzinne przesiadywanie w gimnazyum, na powrót do domu pod czujną strażą dieńszczyka, na najboleśniejszą dla niej godzinę obiadową, kiedy to matka siedziała cały czas odwrócona do niej plecami, zdawając się jej nie spostrzegać i śmiała się i rozmawiała wesoło z Sergiuszem Piotrowiczem który się u nich już od dłuższego czasu stołował, a ojciec wodził po nich i po niej nieprzytomnym, błędnym wzrokiem, zaczerwienionemi, pływającemi w łzach oczyma nałogowego pijaka.

A potem odchodzili wszyscy i Wieroczka, biedna, mała Wieroczka zostawała sama w ciemnawym, smutnym pokoju, w samotności i ciszy, chyba że matka zostawała w domu, a wtedy z za ciężkiej, jedwabnej portyery która oddzielała jadalnię od salonu i znajdującej się za nim sypialni Daryi Aleksandrowny słychać było rozmowę, gruby, chrapliwy głos Sergiusza Piotrowicza, wysoki, śpiewny głosik Daryi Aleksandrowny, szepty i śmiechy, które na bladą twarzyczkę Wieroczki wywoływały palący, krwawy rumieniec wstydu.

Rok już upłynął był w pierwszych dniach kwietnia, jak do mieszkania w oficynach zajmowanego obecnie przez pana Szymona Kowalika majstra szewckiego, właściciela kwitnących czerwonawo fuksyi i gwiżdżącego bezustannie kosa, sprowadziła się pani Narzymowa z dziećmi. Zaraz pierwszego dnia Wieroczka wracając ze szkoły spotkała na schodach szczupłą, wysoką dziewczynkę o twarzyczce ściągłej i bladej, o szarych, wielkich, smutnie patrzących oczach. Zstępowała ona wolno z góry, niosąc w ręku średniej wielkości koszyczek, taki, jaki się używa zwykle na bułki. Sukienkę miała ciemną, przepasaną skórzanym paskiem, na głowie mały słomiany kapelusik opasany granatową wstążką.

Z pod tego kapelusika złotą falą spływały jasne, lśniące włosy, nie splecione i nie ujęte grzebieniem, spływały wolno, miękko po szczupłych jej ramionkach, śliczne, złote włosy księżniczki z bajki.

Przechodząc obok siebie dziewczątka uderzyły się oczami, Wieroczka z zachwytem i ciekawością najwyższą; tamta jakiemś dziwnem, łzawem spojrzeniem pod którem Wieroczka zadrżała i spuściła oczy, a potem o parę schodów wyżej przystanąwszy oparta o kamienną balustradę, patrzała z dziwnem ściśnięciem serca za odchodzącą, patrzała aż ta znikła jej w bramie.

Odtąd jedynem pragnieniem Wieroczki, pragnieniem gorącem i tak gwałtownem że jej po nocach nieraz spać nie dawało, była chęć zapoznania się z nieznajomą dziewczynką. Ale nie było to tak łatwem; mała prawie nie wychodziła z domu, a jeżeli wychodziła to w towarzystwie matki, kobiety pięknej jeszcze, wysokiej, ciemno ubranej, której zimne spojrzenie i chłodne surowe usta niewytłumaczonym strachem przejmowały Wieroczkę, ilekroć się z nią spotkała. Był tam jeszcze i chłopiec gimnazyalista, wyrostek może szesnastoletni, zupełnie do matki podobny, wysoki, piękny, o dumnych ślicznych ustach, o śmiałem, surowem spojrzeniu, ale na tego Wieroczka zupełnie nie zwracała

uwagi; jedynem jej pragnieniem, jedyną tęsknotą była złotowłosa dziewczynka. Chcąc się z nią zapoznać doszła do tego, że całemi godzinami wałęsała się po sieni, czatowała na nią na ulicy, wysiadywała w oknie jadalni z oczyma utkwionemi w przeciwległe okienka oficyn, drżąc ilekroć poruszyły się tam firanki lub przesunął się cień przechodzącej koło okna osoby.

Z początku, w pierwszych dniach zwłaszcza jasna głowa dziewczynki z przeciwka ukazywała się w ramie okna, szare, łagodne oczy rozglądały się ciekawie, ale gdy tylko spotkały się z wzniesionemi ku sobie oczyma Wieroczki, mała cofała się jakgdyby z przestrachem i potem przez resztę dnia napróżno czekała Wieroczka, by pochwycić to trwożne spojrzenie, ten zamierający uśmiech na rozchylonych dopiero co usteczkach.

A potem — potem — nie pokazywała się już wcale; gęste, muślinowe firanki spuszczone zasłaniały szczelnie wnętrze mieszkania w oficynach.

A pragnienie Wieroczki wzrastało z dnia na dzień, tej biednej, samotnej Wieroczki, która nie miała brata ani siostry, której ojciec rzadko kiedy odzyskiwał przytomność i świadomość że ma dziecko, a matka...

. . . . . .

Zbliżył je los — los, który twardą ręką rzuca ludzi ku sobie, odrywa piersi od piersi, usta od ust i wplata jednych i drugich w wiecznie ruchome koło cierpienia, tęsknoty, męki.

Upłynęło kilka miesięcy; minęły letnie wakacye, rozpoczął się nowy rok szkolny. Pierwszego zaraz dnia Wieroczka na korytarzu żeńskiego gimnazyum spotkała dziewczynkę z przeciwka.

Maleńka dopiero co zdjęła była z ramion tornister i szczupłymi, długimi paluszkami napróżno starała się rozplątać rzemyki zacieśniające płótno torby. Ręce jej drżały tak silnie, że drobne paluszki traciły siłę, ślizgały się bez mocy po stali sprzączki, plątały się i gięły wśród rzemyków, a podczas tego oczy jej patrzały uporczywie kędyś daleko, w ciemną głąb korytarza, poza mury tej szkoły, daleko — oh! jak daleko.

W spojrzeniu tych biednych oczu było coś co mroziło krew w żyłach Wieroczki, płoszyło dziecinne, radosne wyrazy drżące na jej wargach.

Nie śmiejąc się poruszyć, nie śmiejąc się odezwać, drżąca pod ciosami bijącego jak dzwon na trwogę serca, stała Wieroczka obok złotowłosej, wpatrzona w jej zbladłą twarzyczkę, na usta zaciśnięte, wygięte w linię niewymownie żałosną.

Aż nagle te śliczne, bolesne oczy dziecka

przysłoniły powieki, z pod długiej, ciemnej rzęsy wypłynęły łzy i spłynęły wolno po policzkach. Wtedy to Wieroczką szarpnął ból, jakaś ręka brutalnie chwyciła ją za serce; rzuciła się naprzód i chyląc się nad małą, zaszeptała tuż nad nią:

— Czekaj, ja tobie pomogę...

Przyciągnęła silnie zaciśnięte paski i odmykając sprzączkę poczęła:

— Nie bój się... czego...

— Dziękuję — wyszeptała z trudem tamta.

— Do której ty klasy? — spytała znów Wieroczka.

— Ja? do drugiej.

— To na piętrze... chodź zaprowadzę ciebie... ty pierwszy raz?... urwała nagle i po chwili zaszeptała bardzo cicho: — trzeba mówić po rusku... rozumiesz po rosyjsku — zawsze po rosyjsku — posłyszą, ot i kara.

Mówiły bowiem dotąd obie po polsku. I Wieroczka poszła przodem, niosąc tornister swój i małej, a za nią szła wolno złotowłosa w głąb długiego, mrocznego korytarza.

Między dziewczątkami zawiązała się przyjaźń gwałtowna, bałwochwalcza, zazdrosna ze strony Wieroczki, łagodna, słodka jak skon dnia letniego ze strony Józi.

Namiętna, spragniona miłości dusza Wieroczki, przylgnęła do łagodnego, smutnego dziecka, układła się u jego nóg z psiem przywiązaniem i pokorą. Nie kochana, nie kochająca dotąd nikogo Wieroczka, dziewczyna energiczna, gwałtowna, krnąbrna uwielbiała Józię za jej lękliwość, nieśmiałość, dobroć, za słodycz jej spojrzenia, za łagodny owal jej twarzyczki, za słodkie, serdeczne słowa, za złotą przędzę jej włosów, za miękki spadek jej ramion, uwielbiała ją za każdy jej ruch, za każde słowo, za każde spojrzenie, tą przeczystą, gorejącą miłością, do jakiej zdolni są jeno męczennicy i dzieci.

Dziwna, bolesna to była przyjaźń.

Wiecznie między niemi, między ich dziecięcymi szczerymi uśmiechami, między słodką spowiedzią ich serc, słał się cień, wiecznie opadały wyciągnięte ku sobie ręce, wiecznie powtarzała się ta straszliwa chwila, że stawały naprzeciwko siebie, jak dwie obce sobie istoty tak, że zdawało się, iż się odwrócą od siebie i każda pójdzie swoją drogą i nagle — padały sobie w objęcia płacząc gorzko, serdecznie.

— Czy wierzysz mi! — czy wierzysz mi, że cię kocham! — pytała gwałtownie wśród łkań Wieroczka.

Wątłe ramionka Józi zaciskały się silniej naokoło jej szyi.

— Czy wierzysz mi! — pytała topiąc w niej niespokojne, badawcze spojrzenie — ja ruska...

— I cóżeś ty winna Wieruś — cóżeś ty winna — szeptała przez łzy Józia, drobnemi rączkami gładząc jej włosy.

Widywały się codziennie w gimnazyum, w sieni domu w którym obie mieszkały; czasem korzystając z jakiej wolnej od lekcyi godziny zamiast wracać wcześniej do domu spędzały ją gawędząc w cichym kąciku pojezuickiego ogrodu, który otaczał gimnazyum — dawny klasztorek. Ani Wieroczka nie bywała u Józi, ani Józia u niej; nie śmiały nawet zamarzyć o tem. Józia kryła się w domu z tą swoją przyjaźnią dla ruskiej dziewczynki jak ze zbrodnią, jak z przewinieniem ciężkiem, niegodnem, ale nie miała sił odwrócić się od niej, nie odpowiedzieć uśmiechem na jej spojrzenie niespokojne, błagalne, łzawe. Wieroczka nie przyznawała się przed rodzicami do znajomości z Józią, kryła ją jak skarb najświętszy, drogi w tajemnem cyboryum serca i jeno sama przed sobą cichymi, samotnymi wieczorami rozpamiętywała wśród łez zachwytu słodkie słowa, które je złączyły, uśmiechy rzucone sobie z oddali, spojrzenia i te łzy, które wypłakiwały obie objąwszy się ramionami przytulone do siebie, spowiadające się sobie z doli swej smutnej sierocej.

Serca dziewczątek przędły złotą, cieniuchną

niteczkę miłości, która owijała się naokoło ich czystych, gorących duszyczek — mocna, złota, pajęcza niteczka miłości.

A jednak wśród najbardziej serdecznej rozmowy jawił się między niemi ów cień, ramiona Józi opadały bezwładnie, oczy jej patrzały kędyś daleko — daleko, a Wieroczka wiła się w spazmie trwogi, bladą jak chusta twarz pochylała nad Józią i szeptała przez zaciśnięte zęby.

— Czy ty mnie wierzysz... — czy ty mnie wierzysz...

Józia obejmowała ją ramiony, uspokajała słowami ale na dnie jej serca krył się jakby żal jakiś niejasny a ciężki, ciągły wyrzut czyniony samej sobie — ból wspomnień i ból niemocy, że nie może oderwać serca od tej co płacze gorzko w jej ramionach, że nie jest, nie może być z nią całkiem szczerą, powiedzieć jej wszystkiego — wszystkiego — tego co Wieroczka wyczuwała jednak i o czem mówiła łkając:

— Ty mnie nie kochasz Józiu tak jak ja ciebie... ty mnie nie możesz tak kochać Józiu...

Smutna, bolesna to była przyjaźń.

. . . . . .

— Ty sierota? ojciec wasz nie żyje? pytała raz w pierwszych miesiącach ich znajomości Wieroczka.

Józi zadrżały wargi.

— Żyje — odpowiedziała cicho.

— Gdzież on?
— Wyjechał.
— Wyjechał? dokąd?
— Do Jakuckiej gubernii.
— Wyjechał! dlaczego?

Józia nie odpowiedziała nic jeno spojrzała na nią, a potem odwróciła wolno głowę i zapatrzyła się przed siebie, kędyś daleko.

Wieroczka zwinęła się w kłąb pod tem spojrzeniem, zatopiła palce w gęstwinie ciemnych włosów i szarpnęła je z całej siły.

— Czy ty przebaczysz mnie... czy ty zapomnisz — zapłakała krwawo jej dusza.

I od tego dnia z dalekiej, obcej strony nadpływał ku nim cień, w cichych, słodkich godzinach zwierzeń stawał między niemi i nagle, Józia przestawała mówić, myślą, spojrzeniem odbiegała daleko, bezsilnym bolesnym ruchem splatała na kolanach rączki i patrzała, patrzała przed siebie nieruchomą, martwą źrenicą.

— Józiu — wołała cicho Wieroczka. — Józiu! — szeptała z lękiem — i widząc, że jej nie słyszy kryła twarz w dłonie i płakała rozpaczliwie powtarzając sercu swemu i myśli:

— Nigdy!... nigdy więc...

Jak powiew letniego wietrzyku płynął ku niej słodki, litosny szept.

— Cóżeś ty winna Wieruś... cóżeś ty winna...

I znów serca dziewczątek przędły cieniuchną,

złotą niteczkę, mocną, złotą, pajęczą niteczkę miłości.

Aż przyszedł dzień... Wieroczka pamięta go, wspomina z bolesnym jękiem duszy, patrzy w przeszłość. Jak mglisty sen snują się, kłębią postaci, jęki, słowa. Z daleka — z daleka — przez mgłę, przez gęstą mgłę, słychać szloch Józi; słychać coraz słabiej... słabiej — oddala się, odchodzi na zawsze.

— Józiu!... czy my nigdy!... krzyczy Wieroczka i nagle przytomnieje, rozgląda się po pustym, ciemnym pokoju.

Nikogo niema — nikogo.

Kuli się na kanapce, wciska w poduszki, białe chude rączyny ciśnie do piersi.

Wspomina — płacze.

Zda się jej, że z za ciężkiej portyery słyszy szyderczy, ostry śmiech matki, jak wtedy — jak wtedy, — że słucha, podsłuchuje i nagle rzuca się ku drzwiom, stąpa cicho jak kot, skrada się ostrożnie, jeszcze parę kroków, jeszcze krok i jest już w sieni, jak wtedy.

Wtedy — —

Wieczór był jesienny, słotny. Wieroczka jak zwykle została po obiedzie w jadalni, rodzice z Sergiuszem Piotrowiczem przeszli do salonu. Mrok zapadał szybko, nie zapalono jeszcze lamp,

w jadalni było prawie ciemno. Wieroczka usiadła na tejże samej, niskiej, mięciuchnej kanapce. Uśmiechała się myślom swoim, wspomnieniom. Na ustach czuła jeszcze usteczka Józi, na szyi słodki uścisk jej wątłych ramionek. Spędziły znów dziś z sobą długą, serdeczną godzinę, wolną z powodu nagłego zasłabnięcia damy klasowej Maryi Fedorowny.

Jutro spotkają się znowu — jutro i po jutrze i co dnia, zawsze, zawsze; całe życie będą razem, przysięgły to sobie — a gdy dorosną...

Jak świst szpicruty wdziera się w ciszę mrocznego pokoju, w senną ciszę słodkich marzeń, krótki, ostry, świszczący śmiech Daryi Aleksandrowny.

Wieroczka budzi się nagle — niechętnie, mimowoli nadsłuchuje.

— Ha-ha-ha — śmieje się, szydzi Darya Aleksandrowna — ot prawy z was ruski człowiek!

Ojciec tłumaczy się, usprawiedliwia, bełkoce niewyraźnie, chrapliwie.

Teraz zabiera głos Sergiusz Piotrowicz; mówi wolno, wolniuteńko, kładąc szczególny nacisk na niektóre wyrazy:

— Darujcie Atanazy Prokopowiczu, wszak wy policyjny urzędnik? czyż się nie mylę?...

— Ha-ha-ha — śmieje się cieniutko, piskliwie Darya Aleksandrowna.

— Pozwólcie, pozwólcie Atanazy Prokopowi-

czu — cedzi Sergiusz Piotrowicz — wy macie dobre serce ot co... dobre serce... wam żal ha... buntowników wam żal... darujcie, ja nie wierzę, żebyście nie wiedzieli o niczem, taż się tu schodzą, nad waszą głową... ot serce u was czułe, miękkie — co!

— Nie — nie — wybucha i krzyczy teraz Daria Aleksandrowna — on co wie kiedy! on! niedołęga! z domu pójść, upić się to jemu raj; ot takie moje życie z nim, sobacze, psie życie! gdzie jego koledzy? gdzie! a gdzie on?! gubernatorem jemu zostać — co! — oberpolicmajstrem jemu być! ha ha ha...

— Co? co? bajki — przerywa sepleniącemu coś Atanazemu Prokopowiczowi Sergiusz Piotrowicz — może i bajki, może i wasza słuszność Atanazy Prokopowiczu, pójdziem — pójdziem, przekonamy się, ot co — na dole paru ludzi mam...

Wieroczki już niema na sofce, cichymi, szybkimi krokami przebiega pokój, sionkę, sień, schody wiodące na drugie piętro, strych.

W skroniach jej biją młoty, w oczach oślepiające migocą, rwą się, skaczą światła.

Tam — tam — oni — Oleś Narzyma brat Józi... Oleś Narzyma brat Józi...

Bez tchu, bez przytomności prawie staje przed niskiemi, drewnianemi drzwiczkami wmurowanego w strych pokoiku.

Uderza pięścią w drzwi.

Uderza raz i drugi.

Nie wie jeszcze co powie, co zrobi.

Za drzwiami lekki jakby szmer — i cisza martwa, zupełna cisza.

— Olesiu! Olesiu! otwórz, na miłość boską otwórz, to ja Józia — woła Wieroczka stłumionym, ochrypłym głosem.

Śmiertelna, okropna, długa chwila ciszy, nagle ktoś szarpnął od wewnątrz klamką, drzwi się otwierają, na progu staje Oleś Narzyma — w głębi izby, w mroku, kilka stojących, skupionych razem chłopięcych postaci.

W pierwszej chwili, na widok Wieroczki Oleś cofa się w tył, nagle jednym skokiem jest już przy niej; zbladłą twarz chyli nad dziewczyną, chłoszcze ją wściekłem spojrzeniem stalowych, zimnych oczu, ręką ściska kurczowo jej ramię.

— Czego, czego — szepce przez zaciśnięte zęby, szepce z nienawistną, dziką pogardą.

Szpieg — czyta w jego myśli Wieroczka.

Rewizya — wyrzuca w tejże chwili z siebie — idą... za chwilę...

Odpycha Olesia i idzie w głąb pokoiku, równocześnie w umyśle jej powstaje szalony plan, jest dziwnie spokojna jeno w białej, nerwowo skrzywionej twarzy, świecą jej oczy jak dwa czarne, fosforyzujące światełka, mówi prędko, cicho, stanowczo:

— Za chwilę będą tu... uciekać niesposób... na dole są także.. trzeba ukryć się na strychu... ja... jeden... jeden musi zostać ze mną...

Szerokim ruchem zgarnia plik papierów i parę książek za drewnianą pakę powtarzając zeschłemi, zgorączkowanemi usty:

— Prędko... prędko...

Chłopcy wahają się przez chwilę — niski, krępy blondyn wychodzi pierwszy, za nim kilku innych, Narzyma ociąga się jeszcze.

Wieroczka ręką wskazuje mu drzwi, pod dziwnem spojrzeniem jej oczu, spojrzeniem ostrem, nakazującem, twardem wychodzi i on.

A Wieroczka ujmuje za rękę smukłego, ładnego chłopca, który od pierwszej chwili stanął obok niej i mówi mu z smutnym, łagodnym uśmiechem:

— Nie bój się — na niczem się skończy.

— Jakżeż to? — pyta chłopiec.

Dziewczynka uśmiecha się sennie, boleśnie; nie puszczając ręki chłopca, siada na pace tyłem do drzwi — z zapartym oddechem nadsłuchuje.

Upływa długa — długa chwila.

Nagle Wieroczka drgnęła, wątłe jej, cienkie paluszki wpiły się z niepojętą siłą w dłoń chłopca — za chwilę i on usłyszał skrzypnięcie schodów i kroki powolne, ostrożne, ciche, zbliżające się.

Wieroczka otwartemi usty łapie jak rybka powietrze, zęby jej dzwonią, uścisk ręki staje się bolesny, miażdżący.

I nagle obejmuje ramionami szyję chłopca, pociąga go gwałtownie ku sobie, pada prawie nawznak na wieko paki i bezwiednie, mimowolnie naśladując głos matki, szepce wpół-głośno, śpiewnie zasłyszanemi niegdyś u niej słowy:

— Miły mój — miły mój.

W tejże chwili na progu izdebki staje Sergiusz Piotrowicz, za nim Darya Aleksandrowna z mężem i jeszcze jacyś dwaj po cywilnemu ubrani ludzie.

— Miły mój — śpiewa jak konający ptak Wieroczka.

Darya Aleksandrowna roztrąca wszystkich i rzuca się ku córce, szarpie ją za ramiona, pluje przekleństwami, krzyczy, charcze.

Wieroczka podnosi ku niej bladą, męczeńską twarz, unosi się nieco na rękach, próbuje wstać z paki.

— Ty świnia... ty!... — krzyczy Darya Aleksandrowna, rzucając się z podniesioną ręką ku dziewczynce i nagle spotyka się z jej wzrokiem...

Matka i dziecko patrzą przez chwilę na siebie; na ustach Wieroczki wije się dziwny, gorzki, wzgardliwy uśmiech — i otó Darya Aleksandrowna opuszcza rękę, spuszcza oczy, cofa się w tył i wybucha głośnym, histerycznym płaczem.

— Ot! spisek — krzyczy do Sergiusza Piotrowicza, krztusząc się łzami — ot spisek!

— Pozwólcie... zaczyna Sergiusz Piotrowicz — ale Darya Aleksandrowna wiesza mu się u ramienia, krzyczy i płacze, wyrzuca z siebie bezładne słowa, jęczy, narzeka, klnie i znów płacze, łka histerycznie zanosząc się, zachłystując jak dziecko — ciągnie go za sobą na dół, po schodach. Za nimi bezradnie idą ajenci policyjni.

W izdebce na poddaszu zostają: student, Wieroczka i jej ojciec.

Chłopiec usunął się na bok, skrzyżował ręce na piersiach, wsparł głowę o framugę okna i patrzy przez brudne, mętne szybki w mrok, na czarne mokre dachy przeciwległych kamienic. Atanazy Prokopowicz stoi na środku izby, szpakowatą głową trzęsie, ręce drżą mu pijacko, zaczerwienione, błędne oczy pływają w łzach, coś tam mamla językiem, coś tam szepce do siebie.

I oto nagle spokojna dotąd i zimna Wieroczka z wielkim, serdecznym płaczem rzuca mu się do nóg, obejmuje ramionami jego kolana.

— Darujcie tatku!... przebaczcie... — woła nie dla siebie może jednej żebrząc przebaczenia.

Pijaczyna nachyla się nad dzieckiem, grube, ciężkie łzy spływają mu po twarzy, wsiąkają w spłowiałe sukno munduru.

— Pójdziemy chyba Wieroczka — co? — mówi.

W kilka dni potem, wieczorem, przechodząc przez ciemną sionkę, Wieroczka poczuła nagle na szyi dwoje wątłych ramionek, mokra od łez twarzyczka przytuliła się do jej twarzy.

— Jak ty mnie kochasz Wieruś... jak ty mnie kochasz Wieruś... bo to przezemnie... dla mnie — zaszeptały niewidzialne w mroku usta.

Przez chwilę dziewczątka trzymały się w mocnym, rozpaczliwym uścisku — nagle Wieroczka odsunęła łagodnie Józię.

— Ja nikogo nie kocham na świecie... nikogo Józiu... — powiedziała cicho z śmiertelnym smutkiem i znużeniem w głosie.

Nowy Sącz, 1903 r.

PIEŚŃ O CISZY

O cicha, jasna łąko! o zielona
Łąko daleka!
Ku tobie dusza smutna i zmęczona
Z bagien i piasków posępnych ucieka,
Wśród jasnej, cichej zieloności twojej
Szukać spoczynku, szukać niepamięci...
O jakaż czystość twych kryształnych zdroi!
O jakże nęci
Twoja pogodna złocistość słoneczna;
O jakże koi
Twa cisza wieczna...

. . . . . .

Tam — między polne
Zioła i trawy i gaje pachnące,
I lilie, srebrnym świecące się puchem,
Czyste i białe chodzą dusze wolne,
Czujące rozkosz najwyższą: być D u c h e m.

K. Tetmajer.

»I ukazał mu rzekę czystą — wody żywota — jasną jako kryształ, wychodzącą z stolicy Bożej.«

(Apocalypsis r. XXII).

Ignacy Moszyński wracał do kraju. Po długich latach spędzonych na obczyźnie w sławie i dostatkach, wracał jako człowiek zestarzały przedwcześnie, znużony duszą i ciałem.

Ciężka choroba nerwowa wytrącając mu smyczek z ręki, pozbawiła go równocześnie złota i rozgłosu, dwóch rzeczy bez których wprost nie pojmował życia — i odtąd coraz szerszą falą poczęło go ogarniać zapomnienie, zacierające w pamięci ludzkiej choćby najwybitniejszą w swoim czasie, ale już minioną działalność pojedynczych jednostek.

Przeszło po nim życie.

A nie miał na całym świecie ani jednej prawdziwie przyjaznej i oddanej mu duszy, ani jednego serca o którem mógłby powiedzieć: »moje«.

Samotny był i zapomniany.

I jak śmiertelnie ranione zwierzę wraca do legowiska, wracał do wsi rodzinnej którą z lat dziecięcych pamiętał, wtuloną w stary las sosnowy, pustą i pełną ciszy wielkiej.

Mrok już zapadał, gdy Ignacy Moszyński dojeżdżał do Pustej. Wieczór był chłodny i wilgotny a przez czarne, rozmokłe od deszczu równiny, wlokły się mgły wydłużoną, białawą smugą kładąc się na ziemi. I szły coraz gęstsze i coraz większe poprzez pola i łąki nizinne, spływające ku drodze — aż zlały się w olbrzymi całun, zasłaniając zupełnie ciemną linię odległego boru i zdając się łączyć w jedno z niebem jednostajnie szarem, zwisającem ku ziemi jakimś ciężarem ogromnym. Droga którą jechał Ignacy, szła więc jakoby w jeden wielki i nieprzejrzany tuman mglisty, z którego wychylały się ku niemu wierzby przydrożne, drzewa prostacze i smutne, o pniach grubych, karłowatych, pogiętych, o rosochatych, bezlistnych gałęziach.

I stawało się coraz ciemniej, bo noc była bezgwiezdna a Ignacy drżąc z zimna i umęczenia, szeroko rozwartemi oczyma patrzał w mrok z niewysłowionym smutkiem i trwogą w duszy. Bo oto wszystko co było mu jasnem i drogiem,

zostawiał poza sobą, a to życie nowe ku któremu się zbliżał tajemne było i beznadziejne jak śmierć.

Ironia życia która na wszystkiem bezlitosne swoje ręce kładzie, przywiodła mu na myśl w tejże chwili słoneczną krainę południa i ciepłą noc na włoskiem jeziorze i usta kobiety kochanej niegdyś gorąco.

Więc dusza jego cofnęła się w przeszłość i zawisła u tych wspomnień jak rozbitek.

Ale od brzegu ku któremu płynął, oderwała się groźna fala goryczy i szła ku niemu potężna, niezmożona niczem. Zalewała go, dławiła, strącała w ciemną bezdeń rozpaczy.

A tymczasem wózek posuwał się wolno, coraz wolniej, po drodze błotnistej i nierównej, bo i konie były już zmęczone i na ziemię padła noc nieprzejrzanie ciemna. Ale zbliżali się widocznie ku wsi, bo słychać było ujadanie psów, słabe i niewyraźne z początku, a potem coraz silniejsze i coraz bliższe.

Kiedy na drugi dzień rano wstał Ignacy późno, bo koło południa, uczuł się jeszcze bardziej zmęczonym i zniechęconym jak zwykle. Zjadł śniadanie, kazał pownosić kufry do pokoju i rozpakowywał rzeczy, wieszając ubrania

w szafie i układając książki na stole — a równocześnie myślał o tem, że długo tu chyba nie wysiedzi, bo ta cisza której pragnął i w którą chciał się zapaść, z blizka wydała mu się bardzo podobną do grobu — a potem — nie zdając sobie sprawy z własnej niekonsekwencyi, bał się czy będzie tak zupełną o jakiej marzył.

Bo oprócz starego krewnego, który się gospodarstwem w Pustej zajmował od lat, to jest od śmierci matki Ignacego, zastał jego córkę, której się zastać ani spodziewał, ani sobie życzył i o której istnieniu zapomniał był zupełnie.

Myślał więc, czyby nie można zamieszkać w Warszawie, gdzie miał trochę krewnych i znajomych z lat dawnych, ale myśl tę zaraz odrzucił, bo miał już wyżej uszu i miast wielkich i stosunków z ludźmi i przecież przed tem uciekał.

A potem dochody z Pustej, jedyne jakie obecnie posiadał, były śmiesznie małe. Należało więc tutaj pozostać a chcąc się pozbyć Wyrwidów, samemu wziąć do gospodarstwa; ale i tę myśl porzucił, czując zupełny brak sił i woli.

Porządkując więc rzeczy, z wielką niechęcią wracał ciągle myślą do tej twarzy kobiecej, która nie była ani ładna, ani młoda — a przedewszystkiem nie pożądana.

Cóż u dyabła tu robi?... myślał, bo właśnie przypomniał był sobie, że kilkanaście lat temu

pisał mu Wyrwid jeszcze do Paryża o jej zamążpójściu.

I przypominał ją sobie potem dzieckiem ładnem i wesołem — kiedy wyrostkiem będąc, bawił z matką przez parę tygodni u Wyrwidów w Zgorzelinie.

Mieli jeszcze wtedy własną wioszczynę, ale potem przyszły klęski — jedna za drugą.

Teraz musiała mieć koło trzydziestu lat — a może i więcej — nieładna była i blada.

Zbliżył się do okna.

Dzień był chmurny i słotny, jak większa część dni u nas wczesną wiosną. Drzewa w ogrodzie stały nagie, mokre od wilgoci, a u pogiętych ich gałęzi wisiały duże krople deszczowe podobne łzom.

Pustka i martwota była w tym ogrodzie odartym z zieleni, wśród tych szkieletów drzew i jakiś jęk przytłumiony a ciągły w szmerze kropli deszczowych uderzających w drewniane ściany domu i padających na ziemię.

Ignacemu zaś — gdy tak stał przy oknie patrząc w ogród — zdawało się że z głębi, aleją drzew bezlistnych i nagich idzie Smutek bezbrzeżny i obróciwszy ku niemu twarz bladą, bolesną, wyciąga ramiona i woła i szepce cicho: pójdź... pójdź...

Patrzał — a ciężkie, wielkie, przeźrocze krople deszczowe biły o ziemię jednostajnym, mia-

rowym łoskotem; dzwoniły o deski ścian, szumiały nieskończoną pieśń smutku i łez, a każda z nich padała mu na duszę ciężarem ogromnym. »Ani tu, ani nigdzie pokoju« — myślał i poczęła się dusza jego rwać ku jedynemu słowu, które było kresem — ku śmierci.

. . . . . .

— Chciałem wuja prosić — mówił w parę godzin potem, siadając do obiadu — żeby wuj zechciał nadal w Pustej pozostać i gospodarować — ja jestem człowiek chory i zupełnie do niczego — zresztą nie wiem nawet jak długo tu pozostanę.

I płynęły tak dni za dniami jednostajne i szare, w zupełnem dla Ignacego odosobnieniu, bo z Wyrwidami widywał się tylko przy obiedzie, śniadania i kolacye każąc sobie najczęściej przynosić do siebie. A i ta godzina spędzana razem w południe, krępowała go i była mu niemiłą, bo dla prostej przyzwoitości trzeba było prowadzić rozmowę która rwała się co chwila, tak nic ich z sobą nie łączyło i tak bardzo stali się sobie obcy. Zresztą w ostatnich czasach Wyrwidowie byli ciągle poza domem — zaczęły się bowiem roboty w polu i stary Wyrwid pilnował orki i siewu; równocześnie zaś prawie wybuchła we

wsi epidemia febry, a że do najbliższego miasteczka a tem samem do lekarza i apteki było kilkanaście wiorst przy roztopach wiosennych ciężkiej do przebycia drogi, Janka po całych dniach przesiadywała na wsi u chorych.

I Ignacy zaczął się już trochę godzić z jej obecnością w Pustej.

Musi być dobra a przedewszystkiem jest cicha — myślał patrząc w jej smutną, bladą twarz i na pełne słodyczy trochę za szerokie usta.

Ale jednego wieczora, przerzucając na stoliku książki i papiery, znalazł małą książeczkę w zniszczonej, czarnej oprawie.

Wziął ją do ręki zdziwiony, bo nie była żadną z tych które przywiózł — i otworzył.

A oczy jego padły na słowa:

„Błądzisz! błądzisz, jeżeli szukasz czego innego jak cierpienia — albowiem cały ten żywot śmiertelny, pełen jest nędzy i opasany krzyżami“.

„Zaprawdę, żyć na ziemi wielką jest nędzą“.

Przewrócił parę kartek i czytał dalej:

„Jeżeli szukasz tego lub owego i chciałbyś być tam lub ówdzie, dla własnej rozkoszy i próżności, nigdy nie zaznasz pokoju, ani wolnym będziesz od smutku, bo nic nie jest zupełnem i trwałem i na każdem miejscu czeka cię Zawód.

Nie posiadanie dóbr ziemskich — ale raczej pogarda ich i precz odrzucenie, daje pokój. Bo wszystko

co ze świata jest, przemija jako sen — a jedno jest tylko dobro trwałe — Pokój Ducha.

Powiadam ci — to co świat zowie drogiem i wspaniałem, zamień na rzecz podług niego lichą i drobną, a im prędzej to uczynisz, tem lepiej ci będzie, a im szczerzej i zupełniej, tem więcej zyskasz.

Pójdź za mną — jam jest droga i prawda i żywot.“

Długo w noc, pochylony nad stołem, przerzucał Ignacy pożółkłe, zniszczone kartki małej książeczki.

I pierwszy raz w życiu oczy jego padły na jakąś drogę niezmiernie prostą i świetlaną, która jako dym ofiarny szła w górę. Ale rozumiał że aby nią pójść można, trzeba wpierw z duszy wyłamać i rzucić na stos; żądzę szczęścia osobistego i miłość własną, ten wielki, przepotężny egoizm natury ludzkiej. *„Bo szczęście nie leży w tem żeby brać, lecz w tem żeby się wyrzec.“* I Ignacemu, który zawsze pragnął brać, a za przeszłością ciągle tęsknił i bolał, wydały się te proste słowa zupełnem niepodobieństwem, jakąś wizyą kuniebną, oderwaną od ziemi i rzuconą w błękity.

I padły na jego duszę jako garść białych kwiatów — w pył ziemi.

Ale zamykając książeczkę i długo potem jeszcze — leżąc w łóżku i nie mogąc zasnąć — myślał o tem, że jednak wszystko przemija jako

sen, i że jak sen przeminęła jego młodość — sława — i te chwile które nazywał szczęściem.

I że jedynem dobrem za które oddałby resztę życia jest Pokój.

Można jednak wszystko utracić, ale nie można niczego zapomnieć — i duch ludzki, jako ptak do gniazda, wraca do przeszłości.

„*Zaprawdę, żyć na ziemi wielką jest nędzą*".

Myślał też o tem, że tę książkę musiała tu położyć kobieca ręka, w czem widział chęć nawracania go i wtargnięcia w jego wewnętrzne życie, co go uraziło i przejęło znów niechęcią do Janki.

Więc na drugi dzień rano odniósł jej książkę i oddał, w suchych, ironicznych słowach dziękując.

Ona zaś biorąc książkę i rumieniąc się z przykrości, zaczęła:

— Nie, nie, źle mnie zrozumiałeś Ignacy... ja nie miałam zamiaru... Mój Boże! moje życie było także smutne i gorzkie — a te słowa niosły mi ukojenie, więc chciałam...

Poczem urwała i zmięszała się jeszcze bardziej, bo czuła że on zamyka się w sobie i kryje cierpienie i bała się go urazić jeszcze więcej, mówiąc mu że domyśla się tego.

A Ignacemu nagle zrobiło się jej żal, tem więcej, że słowa jej szczere i nieśmiałe z serca szły, więc ujął jej ręce mówiąc:

— Ja doprawdy jestem wdzięczny za każde dobre słowo, ale ludzi się boję, bo lubią patrzeć w czyjeś serce bez współczucia, ot tak, z ciekawości.

I widząc, że nie odpowiada i że jest ciągle jeszcze pod wrażeniem przykrości, jaką jej sprawił swemi słowami — mówił dalej — kładąc rękę na książce.

— Co za dziwne słowa — czytałem wczoraj długo w noc — ubóstwienie cierpienia i ukochanie go aż do rozkoszy, tak jakgdyby natura ludzka nie cofała się przed bólem każdym — i jakby można w goryczy łez pić słodycz.

— A jednak można, można — przerwała Janka i przez bladą jej twarz przeszedł jakby promień słoneczny, a po długiej chwili dodała:

— Tylko trzeba równie ochotnem sercem brać z bożej ręki złe i dobre i zawsze prostą drogą iść.

Poczem zaraz zaczęła nalewać herbatę w szklanki i rozstawiać je na stole.

— Co za dziwna twarz — myślał Ignacy patrząc na nią — niby zupełnie brzydka, a jednak prześliczna w wyrazie.

Od paru już dni nie mógł Ignacy oderwać myśli od słów, które powiedziała mu Janka.

Schodzili się teraz częściej i rozmawiali dłużej, a Ignacemu weszły w zwyczaj te gawędy o szarej godzinie, kiedy ona pokończywszy domowe zajęcia siadała przed domem na ławce, owinięta w grubą, szarą chustkę, czekając powrotu ojca z pola. Pogody się ustaliły, a choć wieczory i noce bywały jeszcze chłodne, od pól i lasu szło już rzeźwe, radosne tchnienie wiosny i trawa poczynała się zielenić. Na drzewach, zwłaszcza na kasztanach, które otaczały dwór, ukazywały się i nabrzmiewały w słońcu pąki, wydając woń żywiczną, silną, świeżą.

Ignacemu zaś było lżej na duszy i od kilku tygodni czuł się zdrowszy i wypoczęty.

Ale siedząc tak obok Janki przed domem o zachodzie słońca i patrząc jak się złocistą, świetlaną kulą nurzało w purpurze i fioletach zapadając coraz głębiej i coraz bardziej blednąc, mówił:

»O tej wielkiej ciemności, która pada na ludzkie głowy i o tym nieprzeniknionym mroku, w jaki ludzkość pogrąża się od lat.

Bo dawne światła pogasły a nowych nie zapalono jeszcze.

A tymczasem życie męczy i przygniata — a równocześnie ogarnia taki niezmierny lęk przed śmiercią. I wobec tej pewności, że ona przyjść musi i przyjdzie, i niepewności co jest poza nią, i wobec tego, że może być nic — wieczny mrok,

wieczna cisza, zupełna nicość — co za ból! co za bezdeń trwogi i zniechęcenia.«

Mówił — a ona słuchała w milczeniu, błądząc oczyma po rozległym krajobrazie, po wielkich równinach pól i łąk widnych z ganku dworu, po zieleniejących ugorzyskach które spływały szeroką falą ku rzece i podnosząc się od jej brzegów, ciągnęły się w dal, ku górze, aż popod rozpalone złocistą czerwienią zachodu niebo. Ciemną, twardą linią zdawały się one opierać o poszarpane, płonące grzywy chmur, które sunęły nisko ponad niemi, rozwichrzone, ogromne, świetliste, zmieniające co chwila kształt, barwę, wybuchające krwawą, oślepiającą czerwienią — to znów blade, zwiewne, roztapiające się w mrących, złocistych blaskach, niknące jak owe błękitne, cudowne sny ducha, ustępujące, rozwiewające się bezpowrotnie pod spojrzeniem Rzeczywistości. Drzewa, samotne grusze wśród pól, dzikie śliwy sadzone na kopcach granicznych wzdłuż miedz, wierzby pochylone nad rzeką, rysowały się na tem tle ciemnymi konturami bezlistnych jeszcze gałęzi. Cisza przedziwna, wielka — a pełna jakichś dziwnych drgnień, szmerów, jakichś jakgdyby głosów, szeptów, westchnień, nawoływań, niedających się pochwycić uchem a jednak istniejących, blizkich, wyraźnych, zrozumiałych i słyszalnych dla duszy — wisiała w przestrzeni, obejmowała słod-

kiemi ramiony, kołysała na sen, na dobry, słodki odpoczynek serc.

A Ignacy mówił — wybuchał ironią, gryzącem szyderstwem i bólem; z dziką, bolesną rozkoszą rozkrwawiał zasklepione rany, wpatrywał się w nie, liczył krople wyciekającej krwi serdecznej i próbował się śmiać zbielalemi od męczarni usty. Mówił coraz namiętniej, coraz boleśniej i w miarę jak napływały wspomnienia niedawnych bólów i rozpaczy, z kwestyi ogólnych przechodząc na osobiste, bezwiednie prawie spowiadał się z przeszłości, z upojeń i grzechów, z niespełnionych pragnień i z niespodziewanych zawodów, z przeczuć i przerażeń ducha, z nędzy ciała, z całej tej męki fizycznej i duchowej którą tu przywlókł z sobą i która od lat w ohydnym trzymała go uścisku.

A Janka słuchała z twarzą bladą, spokojną, cichą. Usta jej rozchylone nieco, drżąc lekko układały się w wyraz miękki, niesłychanie słodki i litosny. Oczy błądzące kędyś daleko zdawały się śnić jakiś sen błękitny, wysnuwać myśl daleką od jego słów i myśli. I nagle jakby kończąc ową myśl poczętą gdzieś na dnie serca, jakby wypowiadając ją przed samą sobą, rzekła:

— Ja jestem jeno prosta kobieta, ale mnie się zdaje, że ta cała gorycz i zniechęcenie, ta cała męka życia leży w oderwaniu się ludzi od natury i Boga.

I to były słowa do których Ignacy wracał ciągle myślą.

A i teraz idąc przez las myślał o Jance i wywoływał w pamięci jej twarz i słodkie usta, łagodną, śliczną linię jej ramion, wdzięk jej postaci, czysty i smutny wdzięk więdnącego kwiatu. Nie była młodą, a przeżyte upokorzenia i troski znoszone z pokorą i rezygnacyą istoty wierzącej głęboko, naznaczyły twarz tę stygmatem cierpienia, nadając jej wyraz wzniosłego Piękna. W bujnych jej płowych włosach przeświecały gęsto srebrne nitki a piękne niegdyś, błękitne oczy, zbladłe i zmęczone, chwytały za serce wyrazem nieopisanej dobroci. Ale najpiękniejsze były jej ręce, ręce czułe, dobrotliwe. Miały one swój wyraz, swoją mowę, wyraźniejszą, tkliwszą, głębszą jak mowa ust. Kiedy czasami splatały się nerwowo, Ignacy czytał w nich bezmiar współczucia, litości dochodzącej aż do męki. Z cudowną czułością przesuwały się one po głowach dzieci, z zachwytu pełną pieszczotą dotykały kielichów kwiatów. Rysunek ich był boską w czystości swej linią — wyraz pieszczotą nieziemskiej kochanki. Ręce te miały duszę.

I Ignacy widział je teraz przed sobą, białe, smukłe, wązkie, przeczyste; mówiące jakieś słowa silne i łagodne zarazem, uśmiechające się smutnie.

I myśląc o Jance, myślał że bądź co bądź, wbrew wszystkiemu co się mówi i pisze, żyje

się przez kobiety, i że najczęściej życie mężczyzny układa się zależnie od tego, jaką kobietę spotkał na swej drodze — złą czy dobrą.

I że Janka taka cicha i słodka mogłaby być szczęściem.

Ale zaraz przypomniał sobie, że człowiek który ją miał, porzucił ją dla ladacznicy.

Życie zwykle się tak układa, jakby niem rządziła jedynie jakaś wielka a bezlitosna moc — Wszech-Ironia.

A potem myślał znów o Jance i o tem, że jednak ona uniosła z rozbicia i wiarę i dobroć i pokój, a on i tysiące jemu podobnych zostawili tam, u ruin osobistego szczęścia, całą duszę, wszystką krew i myśl całą. I myśląc tak uczuwał coś w rodzaju zazdrości o tę ogromną wiarę, która była w niej i tę pewność, że to co nazywała dobrem, było bezwątpienia dobrem, a to czem się brzydziła, złem; podczas kiedy on wiele przemyślał i wiele przecierpiał, aby dojść do zupełnie żadnych rezultatów i nie mieć żadnej pewności. Więc znów ogarnęła go zazdrość i myśl, że jednak jej jest z tem dobrze i że dobrze byłoby na jej kolanach położyć zmęczoną życiem głowę i odpocząć. I zdjął go nagle żal nad samym sobą, nad wieczną męką myśli, nad żrącą tęsknotą serca, nad okropnym głodem ducha, głodem stokroć straszliwszym jak głód ust łaknących, nad próżnią umysłu, który napróżno chce

zrozumieć, który przeczuwa i trwoży się, wątpi i przeklina.

Nędza... nędza... nędza... — szeptał Ignacy i szedł coraz śpieszniej, bo słońce obniżyło się już znacznie, a o tej porze Janka siadywała zwykle przed domem.

Lato szło w powodzi światła i ciepła, słonecznymi promieniami kładło się na ziemi, zamieniając ją w jedno rozległe morze zieleni. Zazieleniły się i rozkwitły łąki, rozkwitły srebrzystym puchem drzewa i pokryły się wkrótce jasną zielenią, młodziutkimi, wątłymi, dzwoniącymi na wietrze listeczkami. U stóp ich złociste, zachwycone oczy mleczów, wzniesione w górę napróżno szukały wśród przymglonego błękitu, sióstr swych kwitnących jeno nocą; a rosnące opodal polne dzwoneczki, dzwoneczki liliowe drżące na łodyżkach smukłych, cieniutkich, uśmiechały się litośnie z spraw tej ziemi, z tęsknoty polnych mleczów do gwiazd, z tęsknoty dusz ludzkich do słońc. Odradzając się z każdą wiosną z korzonków nikłych, cienkich, białych, rozciągniętych jak sieć niezmiernie delikatna, misternie wiązana, w głębi ziemi, wtulone w miękką życiodajną próchnicę, zachowywały w głębi swych włókien, tych nerwów kwiatu, wspomnie-

nia z przed wieków, wspomnienia z ubiegłej wiosny, przędły nić *Nieskończoności*. I z wiekami, cudowny, gorący szafir ich płatków gasł, ciemniał — a stulistny, gwieździsty kielich zmieniał kształt, aż stał się podobnym do wielkiej łzy drżącej boleśnie ponad ziemią.

O bracia moi! o siostry moje! o nieszczęśni — dzwoniły żałobną pieśnią liliowe kwiaty, ale naokół nich radosną, szeroką falą rozlewało się życie, życie bujne, niefrasobliwe — rozkwitały w słońcu kwiaty, kołysały się ogromne, srebrzyste pola zbóż, korony drzew leśnych szumiały zielonym, młodym liściem. A u stóp ich pełzał mech prostaczy, jasno-zielony, o misternych i wątłych listeczkach zbitych w jednolitą masę, miejscami żółtawy od drobnych, krągłych kwiateczków.

Ignacy, który dni całe błąkał się teraz wśród łąk i pól, lub padłszy u skraju lasu leżał godzinami napozór nieruchomo, w czujnym, zachwyconym półśnie duszy — patrzał jak ta ziemia, którą pamiętał nagą, szarą, bolesną okrywała się czarem, jak z dniem każdym wyrzucała z swego łona nowe, młode życie i bujna, zwycięzka, nieśmiertelna leżała w słońcu. Odczuwał w niej potęgę żywiołu — moc niespożytą, wobec której człowiek drobnieje do rozmiarów pyłku wraz z całym swoim narządem mózgowym, rozkoszą i bólem, rozpaczą i radością.

O wielka! o nieśmiertelna! — szeptały jego usta a oczy biegły w dal, czepiały się łagodnego błękitu nieba, tonęły w błękitnej fali jeziora, w której odbijały się białe chmurki i mknęły przez toń podobne żaglom rybackich statków na morzu. Tamto bowiem, nad tem jeziorem porosłem u brzegów sitowiem, spędzał Ignacy najdłuższe, najcudowniejsze godziny zapomnienia. Kędyś odchodziła go gorycz, kędyś za lasy i góry szło zniechęcenie; niewymownie słodka cisza obejmowała go ramiony, kołysała na cudny sen, sen niepamięci. Z pod przymkniętych leniwie powiek śledził giętkie trzciny gnące się ku wodzie z cichym szelestem i za każdym podmuchem wiatru czerwonawymi kiściami kładące się na powierzchni jeziora, lub wybiegał ku onym rozbłękitnionym od niezapominajek brzegom stawu, które jak wieniec pleciony przez rusałki i porzucony w popłochu, obejmowały wodę nieruchomą, błękitną — cudowną, żywą, rozkwitłą ramą. Jasny ich błękit pociągał nieprzeparcie oczy — pociągał duszę, która odpoczywała, usypiała na chwilę wśród tej przymglonej, łagodnej, cichej barwy. Były chwile, że Ignacy czuł się wprost organiczną częścią tej ziemi, blizkim i pokrewnym starym, szumiącym drzewom i polom zielonym. Mijały cudowne dni podobne do snu i noce będące zachwyceniem. Kamienie mówiły wtedy a rozkwitłe łąki śpiewały pieśni.

Gdzieżeś o życie moje! życie dawne — szeptał Ignacy z uśmiechem konającym w westchnieniu. Aż nagle, jednego dnia, leżąc na wzgórzu pod lasem skąd rozciągał się widok rozległy, daleki na okolicę, ujrzał tuż nad swoją głową kołyszący się w podmuchach wiatru maleńki, liliowy dzwoneczek polny. Ten dzwoneczek i w tem tu miejscu przypomniał mu jedyną chwilę dzieciństwa, spacer samotny i odpoczynek na owem wzgórku. Taki sam liliowy dzwoneczek kołysał się wtedy nad jego głową i gnąc się na smukłej, cienkiej łodyżce muskał go po czole, kładł się na oczy, w niemej pieszczocie dotykał warg dziecka wyciągniętych jak do pocałunku. W jednej chwili stanęło przed Ignacym całe jego dzieciństwo, całe jego życie od tamtej cudownej godziny aż do dni ostatnich.

Ogromny żal przypełzał cicho jak wąż i przywarł do jego piersi. Drżącą ręką dotknął kielicha kwiatu szepcąc:

— Tyżeś to jest który w dniach mojej młodości... — i nagle padłszy twarzą na ziemię i obejmując ramionami wątły dzwonek liliowy począł powtarzać wśród łkań:

Czy wiesz... czy wiesz...

. . . . . .

. . . . . .

Były to ostatnie łzy, ostatnia spowiedź serca. Płynęły, upływały dni, błąkała się tu i tam myśl,

wracały wspomnienia, ale nie wracał ból. Ignacy jak i dawniej całymi dniami wałęsał się wśród pól, wylegiwał się w słońcu na skraju lasu, lub długie samotne godziny trawił nad stawem. Nie byłby się jął za żadne skarby świata pracy, unikał ludzi. Z jedną Janką rozmawiał wieczorami, a częściej jeszcze milcząc wsłuchiwał się w szmer jej słów, nie rozumiejąc treści wypowiadanych wyrazów. Myśl o przeszłości odbiegała go coraz częściej a natomiast ogarniało go uczucie wielkiego spokoju, wielkiej ciszy. Ze zdziwieniem chwytał się czasem na myślach dziecinnych, prawie wesołych, śmiesznych. Jakże odległą, jakże obcą wydawała mu się przeszłość jego gdy wracał do niej wspomnieniem; przypominał fakta i patrzał na nie obojętnie, jakgdyby obcemu jakiemuś a nie jemu przytrafiły się były człowiekowi. Czasami wspominając je uśmiechał się lekko, wyrozumiale. Cała ta jego przeszłość tak górna i gorzka zarazem bladła, nikła, rozpływała się jak cień, gdy nań padnie nagle snop światła. Nie pragnął niczego, za niczem nie tęsknił, niczego nie pożądał. Gdyby tuż tuż koło niego szło szczęście, gdyby dość mu było wyciągnąć rękę aby je pochwycić, zatrzymać na zawsze, nie byłby się poruszył, nie byłby podniósł ku niemu oczu. Pogrążał się coraz głębiej w sen, w kojący sen ducha. Nie była to apatya, nie była to niechęć, nie było to

nawet znużenie. Z każdym dniem czuł jak mu przybywa sił, szerzej, lżej, głębiej oddycha pierś, jak życie coraz więcej ma dlań słonecznych blasków, uśmiechów. W głębi duszy cieszył się jak dziecko każdym promykiem słońca, każdym kwiatem. I jak zmęczone dziecko, które kładzie głowę na kolanach matki, przymyka oczy i zasypia snem spokojnym, krzepiącym, odpoczywał, usypiał na łonie ziemi, tej matki wszechistnienia, zamykając oczy na wszystko, coby mu mącić mogło ową świętą, kojącą ciszę. Miał uczucie, że jakiś wielki, przygniatający ciężar spada mu z ramion, że odpoczywa po trudach olbrzymich i walkach ciężkich. Niezaznana nigdy przedtem słodycz istnienia otulała go jakgdyby błękitnym welonem, gęstym, nieprzeniknionym, przez który nie przebił się wzrok, przez który nie przedarł się krzyk »stamtąd«. I było mu z tem nieskończenie dobrze. Ale gdy uczucie to wybiegło na usta słowem, dźwięk głośno wymówionego wyrazu prawie że go przestraszył i wydał mu się jakimś nowym i obcym, cofnął się więc zaraz w siebie i z wielkiem zdziwieniem tam na dnie duszy spotkał się znów z tem słowem »dobrze«.

Więc myśl jego poczęła gorączkowo pracować.

Dobrze?...

Więc... Przeszłość...

Ale nigdy ta przeszłość nie wydała mu się bardziej odległą i obcą jak w tej chwili — poprostu nie bolała go już.

Dobrze — dobrze — wołało w nim całe jestestwo i jak w słońcu kąpała się dusza jego w tem słowie »dobrze«.

Po długiej dopiero chwili zbudził się w nim dawny człowiek nieszczęsny, wątpiący, gorzki i stare pytanie »dlaczego«.

Była chwila że go otoczyła ciemność i że się w niej zbłąkał szukając odpowiedzi — i zdjął go wtedy szalony lęk, by nie potrącić w tej ciemności o uśpioną gdzieś hydrę goryczy i zwątpienia, bo dobre słowo pragnął zatrzymać w sobie i bał się je utracić. Ale z ciemności wychyliła się ku niemu słodka twarz Janki i równocześnie przypomniały mu się jej słowa: »że cała gorycz i ból życia leżą w oderwaniu się ludzi od natury i Boga«.

I stało się z nim jako z onym biblijnym ślepcem, któremu Chrystusowa ręka zdjęła z oczu przepaskę ciemności.

Uderzyło w niego światło jasne, czyste, przepotężne światło.

I olśniło go.

Więc dusza jego rzuciła się w proch, do nóg Chrystusowych z krzykiem:

— Widzę! widzę!

Późnym wieczorem powrócił dnia tego do domu i zastał Jankę jak zwykle przed domem.

— Późno wracasz Ignacy, ale ojca i tak jeszcze niema — odezwała się witając go uśmiechem.

— Byłem bardzo daleko — odpowiedział siadając obok niej na drewnianej ławce.

— Możeś więc głodny?

— Nie, nie, poczekamy na ojca.

— Ojciec nie wróci prędko, zwożą siano, bo jutro może być deszcz.

Zamilkli oboje — i począł ich ogarniać mrok, bo słońce już było zaszło i ta niezmącona niczem cisza zapadającej w sen przyrody. Tylko wierzchołkami drzew szedł szmer prawie że nieuchwytny dla ucha, ów wieczny szept liści.

Po długiej dopiero chwili Janka wyciągając przed siebie rękę rzekła:

— Jak cicho...

Ignacy do tej białej, smukłej ręki przylgnął ustami.

— I dobrze... — dokończył.

A widząc jej spojrzenie radosne, zdziwione, pytające, począł mówić:

— Mnie samemu dziwno, że się tak stało i że się to stało tak prędko... nie sądziłem, aby mi danem było zaznać jeszcze szczęścia, spokoju w życiu — myślałem, że wszędy pójdzie za mną wspomnienie... o jakże dalekiemi stały

się tamte lata... jakże odbiegły za krańce myśli, w nieskończoną dal zapomnienia. Jeżeli nie bolą i jeżeli się ich nie nosi pod sercem z myślą ciągle przytomną... czującą... Niema — niema — wspomnienie wraca jeno czasem, tępe, bezbolesne, jak zasłyszana kędyś czyjaś historya obojętna... Wraca się mi moje dzieciństwo — moja młodość wczesna, pogodna. Czyż nie jest cudem to odradzanie się natury ludzkiej, ta zdolność zapomnienia, poczynania życia na nowo. Jakże cichymi są dni, jakże łagodnie spływają w wieczność. Czy wiesz że to ty... że to twoje ręce wskazały mi drogę. Błogosławię je co dnia, te ręce miłosierne, cuda czyniące. Nie straszy mnie przyszłość, nie lękam się dni jesieni, nie boję się śmierci — zasnąć cicho u kraju łąki kwitnącej... O jakże śmiać mi się chce, mnie com przebiegł świat, gdy pomyślę jak ludzie pojmują życie, szczęście. Teraz kiedy myślą cofnę się wstecz, w moje poprzednie życie tam na obczyźnie, śmiać mi się chce i płakać. Com ja tam sił zostawił i łez! Widzę je, te wrące w walce wzajemnej tłumy, te skłębione, pokrwawione ciała, te poszarpane dusze. Widzę je rozbolałe, znienawidzone i nienawidzące, wijące się w pyle pożądań i nienasyconej nigdy pychy. Jam tam był... wiem... Dziś patrzę ku nim obojętnie jak ptak z bezpiecznego gniazda, uwitego w konarach swojskiej lipy. Gdzież jesteście o tamte dni,

dni męki! Gdy pomyślę że nie wrócą... o Janko! gdy pomyślę, że minęły jak zły, bolesny sen i że nigdy...

Umilkł. — Leciuchny, ciepły wietrzyk zakołysał białymi kwiatami malw nad ich głowami.

Milczeli długo — nagle cichy, miękki szept Janki popłynął ponad uśpioną ziemią.

— To że nam dobrze nie dość... trzeba żeby i innym...

Ignacy pochwycił w lot jej myśl... za długo patrzał na nią, na jej mrówczą, pilną, utajoną pracę, by nie zrozumieć jej teraz. Pierwszy to raz wyciągała do niego rękę żeby pociągnąć go za sobą. Czyniła to nieśmiało; w drżącej nucie jej słów brzmiał ton błagalny, lękliwy ton proszącego, przeczuwającego odmowę dziecka. Wpół zdania urwała — rozsądek kazał zamilknąć ustom, pogrzebać słowa które z głębi duszy wyrzuciło uczucie. Żałowała teraz tego co powiedziała, radaby to była cofnąć, mówiła sobie, że powiedziała zawcześnie.

Ignacy rozumiał, odczuwał to wszystko tak wyraźnie, tak jasno, jakgdyby to jej drgające serce, serce żywe, gorejące, czyste, trzymał w dłoni. Nie bronił się wzruszeniu, niewymownej, głębokiej tkliwości. Pochylił się, zbliżył twarz do jej twarzy żeby w otaczającym ich mroku pochwycić jej spojrzenie. Ale ujrzał jeno jej rysy dziwnie surowe, białe, jakby stężałe.

Spojrzenie jej odbiegło daleko, tam kędy niewidzialne w mroku chaty Olszanicy, patrzały ku nim żółtemi źrenicami rozświeconych od wnętrza szybek.

Dusza jej była tam — u tych zapartych drzwi Nędzy.

Ignacy przypomniał nagle jedno zdarzenie, zdarzenie z przed kilku miesięcy, które go zdziwiło było wtedy. Z samotnego, dalekiego spaceru wracając spotkał był pod lasem Jankę. Szła prędko drogą w stronę wsi niosąc w ręku niewielkie, podłużne zawiniątko. Nagle skręciła w gąszcz leszczyny i zanim zdążył na nią zawołać znikła mu z oczu. Sam nie wiedząc czemu, nie poszedł za nią, czekał, prawie się czając na uboczu. Upłynęła długa chwila — jasna suknia mignęła u skraju ścieżki — wracała. Nie była jednak samą; obok niej szedł dziadowina w siermiędze podartej, zszarpanej. Na plecach niósł sakwy, różaniec obracał w rękach. Twarz miał wzniesioną w górę i wyraz tej twarzy z dziwną mocą utkwił w pamięci Ignacego. Była to twarz stara, sucha, bez zarostu, pomarszczona i spalona na słońcu, w niej to tkwiły te cudowne, błękitne, przeczyste oczy, oczy dziecka. Szedł w zamyśleniu uśmiechając się dobrotliwie myślom swoim czy ziemi, życiu czy śmierci. Janka mówiła coś cicho, prędko. Nagle przystanęli i wtedy to stała się owa dziwna rzecz: kobieta

pochyliła się kornie do rąk dziada — usunął ją łagodnie. Była to chwila, sekunda — szli teraz w milczeniu. Na bladej twarzy Janki wił się cudowny słodki uśmiech, u długich jej rzęs drżały łzy. Przechodzili tuż koło Ignacego, dziadowina spostrzegł go pierwszy; nieznacznie, prawie niedostrzegalnie cofnął się w tył, w głębi jego źrenic zamigotał krótki, ostry błysk niepokoju, tłumionego siłą woli lęku.

Janka zrobiła jakiś jakgdyby uspokajający ruch ręką.

— Tędy droga do wsi — mówiła.

— Dziękuję, ostańcie z Bogiem — odpowiedział dziad.

— Z Bogiem ojcze.

Rozeszli się też zaraz. Janka podeszła ku Ignacemu, zauważył że ręce miała wolne, owo podłużne zawiniątko gdzieś zniknęło. Nie pytając jej o nic wracał Ignacy do domu.

Teraz stanęło przed nim wspomnienie owego zdarzenia, jawiły się przed nim te oczy błękitne starca, ten jego uśmiech dobrotliwy, wszystko przebaczający, miłosierny. Jak przepotężny wichr ogarnęło go pragnienie czynu, współdziałania, pracy. Duch prężył się w nim, rozwijał skrzydła do lotu. Jak ustępujący sen znikała dawna niechętna, obojętna niemoc.

Silnym ruchem wyciągnął przed się ramiona.

Dość tego — czas by podjąć pług — Pochylił się ku Jance.

Wskaż mi... — rzekł cicho.

Nieme, ciche łzy były odpowiedzią.

I to wszystko czegoby nie były w stanie wypowiedzieć usta, to coby wypowiadając zepsuły, mówiło wiszące wśród nich milczenie, milczenie ów tajemniczy, cudowny język dusz rozumiejących się do dna.

. . . . . .

. . . . . .

Tyżeś jest o szczęście moje! o upragnione! szeptał Ignacy zasypiając wieczorem, modlił się dziękczynnemi usty wschodzącemu słońcu — a tymczasem pomiędzy nim a szczęściem słał się cień, z daleka, z zapomnianej krainy łez szło nieszczęście, stawało w poprzek jego drogi, siadało na gruzach marzeń i ohydnemi ramiony objąwszy kolana patrzało mu w twarz okropnemi, zimnemi oczyma, nieubłaganem spojrzeniem rzeczywistości.

To pewna, że nazajutrz rano znalazł Jankę inną jak zwykle, inną jak owego wieczora cudu, owej godziny świętego milczenia, kiedy to dusze ich padłszy sobie w ramiona, w mistycznym splecione uścisku, ześpiewane w jeden ton boskiej harmonii, płynęły w zaświat, poza krąg ludzkich marzeń i pragnień, poza piekło ludzkich mąk i bólów, poza ciemną, przepastną głąb

ludzkiej myśli. Znalazł ją inną, zmienioną, zestarzałą, zbladłą. Przeraził się jej twarzy zmartwiałej, zczerwienionych i nabrzmiałych od płaczu powiek. Raniło go spojrzenie jej oczu mętnych od łez; bolał go jej uśmiech, bolesny, blady uśmiech ust konających od wewnętrznej męki. Unikała go widocznie — cicha, zapracowana, milcząca jak cień snuła się po domu. Usunął się, nie pytał o nic, czekał. Widział że cierpiała i nie pojmował dlaczego, bo oto szło ku nim Szczęście. Oczyma ścigał jej smukłą, nieco przygarbioną postać, małą, gnącą się pod ciężarem warkoczy głowę. Czasami chwytał w przelocie jej spojrzenie, pół uśmiech ust bolesny, nieśmiały i jak święte relikwie składał je w głębi serca, w najgłębszej tajni pamięci. Duszą kładł się u jej nóg, z uwielbieniem całował te miejsca, których dotknęły jej stopy, czepiał się nadzieją jej rąk, tych rąk, które mu miały przynieść szczęście. Chwilami ogarniał go niepokój, ale i taka litość nad nią, żeby siebie starł w proch, byle z jej czoła spędzić troskę, z oczu łzy. Pierwszy to raz w życiu kochał miłością wolną od szału rozpętanych zmysłów, zdolną do poświęceń. Rok jeszcze temu nie byłby uwierzył, że takie uczucie istnieje. Dzisiaj poddawał się mu z pełną zachwytu pokorą, z niezaznaną nigdy przedtem słodyczą. Jeżeli o czem marzył, jeżeli czego wyglądał i pragnął,

to tylko tego, aby ich dotychczasowe życie wspólne nie uległo zmianie, aby iść z nią ręka w rękę w ciężki znój pracy, na ów zagon siejby. Goniąc ją oczyma, idąc za nią myślą bezwiednie prawie szeptał, powtarzał zasłyszany niegdyś werset biblijny, ów ton rozmiłowanej, zachwyconej pieśni: »Jakże jesteś piękną o przyjaciółko moja! niemasz w tobie zmazy!«

W miarę jednak jak upływały dni nie przynosząc żadnej zmiany na lepsze, jak nie znikał ów cień który padł między nich i rozdzielał ich tajemniczym smutkiem, żałobnym kirem próżnego utęsknienia, Ignacy począł się trwożyć i niepokoić i tem większy ogarniał go lęk, im jaśniej widział jak ta kobieta była mu drogą — nad wszystko w świecie drogą. Na dnie jednak tego lęku, niepokoju i trwogi, na dnie tego utęsknionego oczekiwania leżało to silne przekonanie, ta pewność, że miłość ją zwycięży i przyjdzie dzień w którym pierwsza poda mu ręce — i czekał na Szczęście.

Ale gdy po paru tygodniach wszedł rano do jadalni na śniadanie zastał Jankę tak zmienioną, tak zestarzałą, spotkał się z jej spojrzeniem pełnem takiego bólu, że zamarło w nim serce z przerażenia i nie śmiejąc ani chcąc o nic pytać, usiadł przy stole i patrzał jak mu drżącemi rękami nalewała herbatę.

I czuł że oto idzie ku niemu z oddali jakaś

moc zła, nieubłagana, bezlitosna, a silna jak śmierć.

Nagle Janka podniosła ku niemu oczy i rzekła:

— Chciałam z tobą pomówić Ignacy.

Wtedy ogarnął go lęk taki, że chciałby się kryć, uciekać, bo oto nieszczęście kładło mu już ręce na gardle.

Milczeli śmiertelnie długą chwilę — wreszcie Ignacy spytał:

— Chciałaś ze mną mówić?...

— Tak — tak...

I poczęły z jej oczu padać łzy ogromne, jedna za drugą na złożone na stole i zaciśnięte ręce.

— Pisałam list do Petersburga, do doktora Worończewa — i dzisiaj dostałam odpowiedź...

Ignacy nic nie rozumiał.

— On jest tam — w zakładzie — u Worończewa — chory... ciężko chory od roku...

W jednej chwili Ignacy zrozumiał wszystko i to także, że może ją utracić.

— Więc? — spytał siląc się na spokój.

— Chory i sam — powtórzyła.

Wtedy ogarnęła go rozpacz — chwycił się jej rąk.

— Pisałaś! po co pisałaś! co tobie ten człowiek... porzucił cię... pamiętasz!... czem ty mu byłaś... niczem... Janka!... Janka!...

— Puść mnie Ignacy — muszę — powinnam stąd odejść — nie mogłabym tak żyć... Boże, Boże!

Nie mogłaby tak żyć — a tak — ona nie mogłaby tak żyć — tu z nim — powinna odejść i odejdzie — a jednak kocha go — kocha.

— Płaczesz?

Płakała głośno prawie z twarzą ukrytą w dłoniach, z głową schyloną ku ziemi.

Ujął jej głowę w obie ręce.

— Nie płacz — nie — nie płacz.

Podniosła ku niemu oczy — Boże ile miłości było w tem spojrzeniu i ile męki — nie, ona nie ma sił — obejmie ją ramionami i zatrzyma — ona nie ma sił, głowa jej tak bezwładnie pada mu na piersi — jego jest — jego.

Dawny człowiek pełen egoizmu i pożądania budzi się w nim z dawną siłą.

Ach! te jej łzy.

Padają mu na ręce, na piersi, na twarz — czuje je na wargach — gorżkie łzy.

Co on chce z nią zrobić, wziąć ją — tak — kocha go i nie ma sił.

Ale to życie które on jej chce dać, czem będzie dla niej, takiej białej i czystej. Kałużą — kałużą.

Nie — nie.

Więc wyrzec się — wyrzec się jej dla niej.

— Janka — Janka.

A potem chyli się do jej kolan, całuje jej zimne ręce.

— Nie płacz, tylko nie płacz.

— Co mu jest? — pyta po chwili.

— Tabes.

— Taka choroba może trwać lata!

— Wiem.

Ona wie o tem i ma odwagę iść tam i pójdzie.

Ogarnia go jakiś zapał wielki i święty — zapał z jakim owi młodzieńcy pogańscy szli na śmierć za przykładem wątłej dziewczyny chrześciańskiej i brali chrzest krwi, wszystko co ziemskie zostawiając za sobą.

Całuje jej ręce.

I oto cichy anioł rezygnacyi zstępuje ku niemu, w swoje białe, chłodne dłonie ujmuje jego biedną, umęczoną głowę i na czole kładzie mu pocałunek pokoju.

— Spokojna stąd odejdę, wiedząc że ty... — płynie łkający szept Janki.

Nowy Sącz 1898 r.

KSIĘŻNICZKA ELŻBIETA

Dziecko stanęło w otwartem, parterowem oknie pałacu i nagle szybko, cicho zsunęło się po zewnętrznej ścianie domu i zapadło w gęste, rozkwitłe krzewy jaśminu, rosnące popod oknami.

Teraz w mroku przysiadło skulone, maleńkie, biedne. Nad głową jej jasno zielone listeczki, śnieżyste, kwietne płatki tworzyły cudowne sklepienie, ruchome, drżące, szepcące cichutko - cichutko — sklepienie przez które przedzierało się światło i maleńkiemi, białemi plamami skakało, igrało po gołych rączkach dziecka, po jego ciemnej, schylonej ku ziemi główce. Nagle maleńka poruszyła się, czołgała się teraz na kolanach cicho, ostrożnie ku ścianie domu, odgarniając rączkami ostre gałązki krzewu, które czepiały się jej włosów, uderzały ją i drapały po twarzy, darły w szmatki jej białą, muślinową sukienkę.

Pełzała cichutko, cierpliwie, ostrożnie. Wnet ręce jej dotknęły wilgotnej ściany domu i równocześnie owionął ją zimny, wilgotny, stęchły zaduch piwniczny. Było tu bowiem spore okra-

towane gęsto okno piwniczne, umieszczone tuż ponad ziemią, w głębokiej, sklepionej w łuk framudze. Rozrosłe krzewy jaśminu opierające się o ściany domu kryły je zielonym płaszczem usianym w drobne, gwiezdne, lśniąco-białe kwiateczki. Dziecko wsunęło się głęboko w framugę muru; plecami opadło na mokrą, wilgotną ścianę. Drobne jej rączki, rączki podrapane do krwi zacisnęły się naokoło zimnej, żelaznej kraty okna, główka opadła w tył. Z zamkniętemi oczyma, nieruchoma, trwała przez chwilę w dziwnym pół-śnie, w bezbolesnem zdrętwieniu nerwów, w obezwładnieniu myśli.

Wołanie ostre, krzykliwe, które ozwało się tuż ponad nią, w otwartem oknie dziecinnego pokoju, zbudziło ją nagle.

Wsunęła się jeszcze głębiej w wgłębienie muru, skuliła się tak bardzo, że drobne jej ciałko owinięte w biały muślin, tworzyło jakby małą, krągłą kulę. Skulone jej kolanka sięgały bródki, wątłe ramionka oplatały je kurczowo.

Bała się.

A wołanie nie ustawało — raz brzmiało tuż ponad nią, oddalało się w głąb domu i znów zbliżało, odzywało się tuż opodal.

Ktoś otworzył drzwi werandy i wyszedł na ganek.

Szukano jej.

Nienawiść, złość ogromna, zawistna, objęły

płomieniem serce dziewczynki; to biedne, małe, umęczone serduszko nie kochanego, nie pieszczonego nigdy dziecka. Wszystkie spojrzenia zimne, obojętne, wszystkie te słowa drobne napozór, które ciężarem gór lodowych waliły się jej na piersi, obojętność która między nimi a nią kopała przepaści niezgłębione — oczy ojca, mętne, niechętne, oczy któremi jej nigdy »nie widział«, chłodne oczy »maman«, jej uśmiech zimny, wzgardliwy, kłujący — kościste ręce miss Beaty — tłuste, ślicznіutkie rączki Lulu, te rączki któremi bił ją po twarzy i szarpał za włosy — zabrana jej ukochana lalka »Panienka«, zabrana dlatego, że się podobała Zizi — wszystko to stanęło przed nią, dziwacznym otoczyło ją kręgiem, zawirowało naokoło niej chichocząc, wołając:

— Pamiętasz — pamiętasz!

Czy pamiętała — oh!

Teraz na odgłos wołań, poszukiwań, bieganiny rozradowało się jej serce wielką, zawistną radością.

— Tak... tak.. — powtarzała zgorączkowanemi usty, z śmiechem który jak rzężenie śmiertelne grał jej głęboko w gardle — tak... tak... szukajcie...

Wróciła jej odwaga, rozprostowała i wyciągnęła trochę, ścierpnięte nóżki.

— Nie znajdą jej — z pewnością nie znajdą — któżby się domyślił... że tu...

Nagle poczuła się tak biedna, tak biedna jak nigdy; głód bolesnym kurczem ściskał jej wnętrzności, chłód wieczorny przejmował ją nawskróś.

Bili ją — bili wczoraj, — płakała rozpaczliwie, gorzko, cichutko.

A wołanie nie ustawało — odzywało się to tu, to tam, w różnych częściach domu i ogrodu. Mała odróżniała skrzeczący głos miss Beaty, wołanie bony Zizi, świeży, śpiewny głos pokojówki, słyszała tupot jej grubo obutych nóg, gdy biegła tuż, tuż koło niej, ścieżką, po drugiej stronie jaśminowego klombu.

Nagle zcichło wszystko — maleńka widziała teraz oczyma wyobraźni, jak Beata wchodziła do buduaru »maman«. Zatrzymywała się jak zwykle u proga i przygarbiona pokornie, sepleniła cichutko, słodziutko słówko za słówkiem, nieskończoną litanię skarg, narzekań, podjudzań.

Księżniczka Elżbieta... doprawdy... przykro to powiedzieć... co za zmartwienie dla księżnej pani... doprawdy niepodobna zapanować... co za charakter... niepodobna odnaleźć... księżna pani pojmuje... taka odpowiedzialność... na chwilkę wyszłam, na sekundę tylko... człowiek jest jak w więzieniu... niewdzięczne dziecko... za tyle starań...

A »maman« słuchała tego wszystkiego obojętnie, niechętnie, z pogardliwym grymasem na prześlicznych, drobnych ustach.

— Ach proszę — przerywała nagle wzruszając ramionami — co mnie... panna Beata zechce szukać... znajdzie się — o! z pewnością... trzeba ukarać — surowo.

— Noc... już noc... — słychać było nieśmiałe skamlanie Beaty.

— Aa to rzecz panny Beaty... cóż ja poradzę... proszę się odnieść do księcia pana... zaręczam że się znajdzie... oh! jestem pewna... dobranoc...

A! — zajęczało nagle dziecko — nie znajdziesz mnie... ty... pójdę...

Rzuciła się naprzód — mokre od rosy gałązki uderzyły ją po twarzy; w jednej chwili oprzytomniała, przypomniała gdzie się znajduje. Zasunęła się głębiej w framugę muru, przylgnęła ciałkiem do zimnej kraty piwnicznego okna. Siedziała w mroku, wilgoci, chłodzie, skulona, nieruchoma, cicha.

A tam — zapadała cudowna, letnia noc. Słońce już było zaszło, wypłynął nowy księżyc i bieluchnym wązkim sierpem zawisł nad ziemią. Z za gór i lasów wypełz mrok i szedł ziemią gasząc blaski, barwy, uśmiechy. Z niedosłyszalnem dla ucha ludzkiego westchnieniem kwiaty stulały i chyliły ku ziemi kielichy. Odurzające wonie biły z grząd kwietnych, z pokoszonych łąk i trawników. Cisza objęła ramionami świat

i słodkiemi, niememi usty przywarła do łona ziemi.

Najlżejszy choćby szmer, szept trącanych wiatrem liści, szelest maleńkich skrzydeł ćmy nocnej, nie mącił cudownej godziny milczenia. Nieśmiało drżały w górze blade, złotawe gwiazdy.

W takich to chwilach, samotności i ciszy księżniczka Elżbieta wspominała, przywoływała matkę. Była to wizya dziwna, niewyraźna, mglista, a jednak niesłychanie żywa, wżerająca się w mózg i serce dziecka. Księżniczka nie pamiętała zupełnie rysów zmarłej, nie pamiętała jej postaci ni słów, była tak małą wtedy, tak rzadko wprowadzano ją do zaciemnionego pokoju chorej. Pamiętała jeno jej oczy, oczy duże, ćmione przez łzy, a raczej ich wyraz tępy, bolesny, rozdzierający wyraz beznadziejnego smutku. Teraz jakoby z mgły nieprzejrzanej patrzały ku niej te oczy — nic jeno te oczy — ogromne, ciemne, jak dwie złowrogie gwiazdy. Miały one swój język, tysiączne jęki, słowa, westchnienia, błyskawice i łzy, które dziecko rozumiało. Te oczy pieściły ją, wołały, płakały nad nią, lub nieme, stężałe, nieruchome — patrzały — patrzały — patrzały.

Dziewczynka czuła je wiecznie przy sobie, w sobie, w najtajniejszym zakątku swej duszy; czuła jak się wdrążały w głąb jej istoty, obejmowały ją całą od stóp do głów, kładły się na

jej piersi, kładły się jej na oczy i zamykały je na długie, długie godziny na wszystko co ją otaczało. Pociągały ją one ku sobie, wiodły przez jakieś dziwne, mgliste odmęty myśli, wprowadzały ją w inne światy, krainy ciche, umarłe, szare. Ogromne, pustynne obszary spopielałej, przysnutej mgłą ziemi powstawały nagle przed nią i ciągnęły się w nieskończoność. Z zagłębień, rozpadlin skalnych, patrzały ku niej nieruchome źrenice martwych jezior. Odosobnione, bezlistne, szare szkielety drzew chyliły się od ich brzegów i na ciemną, nieruchomą wodę rzucały długi, długi cień. Sine złomy skalne piętrzyły się jedne nad drugimi, nagie, ogromne. A tam kędyś, z oddali, patrzały te oczy — te oczy...

Nie śmiały się one nigdy.

Napróżno dziecko starało się przypomnieć sobie twarz matki, napróżno w okropnej męce serca, w trwodze graniczącej z obłędem wołało jej, czekało.

Nigdy, w śnie nawet, nie jawiła się przed nią twarz upragniona, czekana.

Jeno te oczy bolesne patrzały ku niej wiecznie, patrzały od dnia jej najwcześniejszej młodości, od dnia jej wczesnego sieroctwa.

— Kędy mnie prowadzicie o oczy!... szeptała z lękiem dusza dziecka — czy tam... czy tam niema...

— Tam — niema — odpowiadały oczy bolesne.

— Weź mnie — weź mnie — łkało dziecko — czy nigdy cię nie zobaczę — nigdy... i tam...

— Tam — odpowiadały oczy bolesne.

— O! mamo — mamusiu — mamusiu... moja — płakało dziecko.

. . . . . .

Usnęła wśród łkań.

Zbudził ją świt — mogła to być najwyżej druga godzina po północy, na wschodzie szarzało zaledwie. Mrok otulał jeszcze ziemię; dom, drzewa, krzewy gubiły się w sinej, nieprzejrzanej mgle. Za chwilę pierwszy promień wschodzącego słońca miał ją zwiać, zwieść z ziemi.

Dziecko zbudziło się zziębnięte, przemoczone do nitki. Nieprędko odzyskało przytomność, nie prędko zoryentowało się gdzie jest. Mokry zwiotczały od rosy muślin jej sukienki owijał się naokoło jej ciała jak zimny, lodowaty całun śmiertelny. Nóżki tonęły w bujnej, mokrej trawie — zdrętwiałe ramionka, drobne ścierpnięte paluszki przywarły, zastygły u żelaznej kraty okna.

Mętne, nieprzytomne oczy dziecka napróżno wbijały się w ciemność szukając znajomych kształtów, przedmiotów. Cicho, nieświadomie bełkotały płonące od gorączki usta.

Pierwszym błyskiem przytomności był nagły, obłędny, dławiący Strach.

Stanęły przed nią zdarzenia dnia wczorajszego.

Dziecko pojęło, że musi uciekać, uciekać czemprędzej zanim błyśnie pierwszy promień wschodzącego słońca.

— Inaczej znajdą ją...

Wyciągając przed się ręce dźwignęła ociężałą głowę, rozbolałe jakby połamane, zmiażdżone członki — klęczała przez chwilę, omackiem wyciągniętych rąk, szukając drogi. Rozgarniała w ciemności gałęzie krzewu i posuwając się wolno na kolanach, przedzierała się z trudem przez jaśminowy gąszcz.

Wreszcie uderzyła ręczynami w próżnię. Zwlokła się z kolan i cicho, cicho skradała się brzegiem ścieżki w głąb parku. Szła ścieżką między klomby róż pachnących, między okwitające gęstwie bzu; szła długą, ciemną aleją grabową; szła przez sad, popod rozłożystemi gałęziami karłowatych jabłoni, ścieżkami deptanemi wielokrotnie w słoneczne dni jesieni, skradała się cicho omdlałymi, drżącymi kroki jak wielki, biały, konający ptak, wlokący bezsilnie po ziemi przestrzelone skrzydła.

Dowlokła się wreszcie do »leśnej łąki«. Tutaj to kończył się park i spływał łagodnie w las. »Leśna łąka« wpół-trawnik, wpół-polana leżała cicha, śliczna u stóp brzozowego gaiku. Poza nim poczynał się ciemny bór. Tam — do tego to boru uciekało dziecko.

Brodziło teraz wśród traw wysokich, ostrych,

wśród kwiatów polnych ciężkich od rosy — z utęsknieniem, z upragnieniem łaknęło chwili kiedy nad jego głową zamknie się czarne, bezpieczne sklepienie starych sosen. Przedzierało się przez gaik brzozowy, witając cudne, smukłe, białe drzewa umierającym uśmiechem.

Ale na skraju ciemnego boru czaił się Strach; przypełzał ku dziecku cicho, zdradliwie i objął je ohydnemi ramiony.

Maleńka cofnęła się z krzykiem, przypadła twarzą do ziemi. Gdy ośmieliła się podnieść głowę, uczynił się już świt.

Ptaki w brzozowym gaju świegotały gromadnie.

Przez jasne, drżące listeczki drzew spływało światło nieśmiałe jeszcze, blade.

Dziewczynka spostrzegła że znajduje się nad brzegiem stawu, który tu służył za zwierciadło brzozom samotnicom. Z zielonego, rozkwitłego uroczyska patrzał w niebo jak wielka, łzami ćmiona źrenica. Na powierzchni stawu długą, migotliwą smugą drżało światło poranku, — kędyś tam plusła rybka.

Księżniczka odzyskała przytomność, spokój — była bardzo zmęczona, chora, — wiedziała że ją znajdą, że muszą ją znaleźć — i uśmiechała się wzgardliwie, obojętnie. Nie zrywała się by uciekać, bo i kędyż dla niej miejsce bezpieczne?! kryjówka?! Myślała jak stara, bardzo zgnębiona

kobieta. Usiadła nad stawem, rączkami objęła kolana, patrzała przed siebie zmęczonemi, zgasłemi oczyma.

Ptaki darły się w gęstwinie.

Wtem na powierzchni wody błysło światełko jedno, drugie — nagle ktoś pełną garścią sypnął na środek stawu skier srebrzystych, złotych, świecących.

Słońce.

Dziecko podniosło głowę i jakby zwierzając komuś bolesną, straszną tajemnicę wyszeptało:

— Przyjdą...

Skuliła się w sobie chyląc się znów nad wodą która tu u brzegu nierozświecona jeszcze drzemała w tajemniczym śnie.

Brzeg tu był urwisty, stromy — —

Nagle dziewczynka rzuciła się naprzód, obłąkanemi oczami wparła się w głąb stawu, ręce jej darły konwulsyjnie darń.

— Tam... tam... — jęczały usta.

Z głębi patrzała ku niej twarz upragniona, czekana — patrzały ciemne oczy, te oczy — wołały usta, usta niewymownie bolesne.

I dziecko nie zdając sobie sprawy, że patrzy w własnej twarzy odbicie, chyląc się coraz bardziej ponad ciemną wodą i coraz bardziej słabnąc, poczęło wołać żałośliwie:

— Mamo... mamusiu!..

Nowy Sącz 1903.

KWIAT GRZECHU

W wielkiej, białej sali grodzickiego dworu tańczono właśnie kadryla. W potokach łagodnego, złotawego światła świec woskowych rozwijał się stubarwny wąż tańczących, zataczał wielkie koła, rozpadał się na mniejsze, wyprężał się sztywno, wyciągał i skulał nagle. Tworzyły i rozsypywały się kolumny; szły ku sobie, przez chwilę zdawały się wsiąkać jedna w drugą i znów stawały naprzeciwko siebie zwarte, sztywne, rozdzielone znaczną przestrzenią. Jasne, kobiece suknie biły w oczy barwami, kształtem. Niektóre białe i lekkie płynęły jak obłoczki, niektóre grały tęczą barw i połysków, inne ciężkim, szeleszczącym brokatem, opadały na posadzkę. Był to jakby ów zaklęty ogród wróżki w chwili, gdy kwiaty zmieniają się nagle w istoty żywe, zachowując przepych barw, czar kształtów i woni. Brylanty połyskiwały jak krople rosy, oczy skrzyły się jak brylanty.

Przytłumione, cichutkie, drażniące szepty i śmiechy brzmiały jak rozmowa istot tajemnych a cudnych, które wyobraźnia stworzyła na chwilę

i które za chwilę miały zamilknąć, rozpłynąć się, zniknąć.

Zapach potu, rozgrzanych ciał młodych zmięszany z zapachem różnorodnych perfum łaskotał i drażnił nozdrza, rozpalał jakieś dziwne zachcenia, porywy. W powietrzu unosiła się jakby jakaś leciuchna, niedostrzegalna mgła westchnień, pragnień, pożądań i zdawała się otulać te wszystkie młode głowy i ciała. Kładła się ona na ustach, które nagle otwierały się jakby do pocałunków, przysłaniała oczy. Każde najbanalniejsze nawet słowo stawało się wtedy pieszczotą; przypadkowe zetknięcie rąk rozkoszą. Ruchy miały rytm leniwy a słodki włoskiej piosenki, tej piosenki ludowej którą nuci półgłosem lazarone leżąc w słońcu nad morzem i myśląc o nocy spędzonej w ramionach kochanki. Spiewały one pieśń ciał — zwycięzką melodyę rodzaju. Każda kropla krwi wzburzonej była nutą — drgającą, żywą nutą namiętności. Zlewały się one razem, śpiewały, płonęły, wybuchały w zdławionym jęku zachwycenia. I w tę cudowną, niemateryalną muzykę marzenia wdzierało się i tłumiło ją brutalnie ohydne rzępolenie żydków, przeraźliwe tony orkiestry wioskowej.

Jerzy Grodzicki syn domu nie tańczył; stał oparty plecami o ścianę i patrzał w stronę gdzie tańczyła kuzynka jego Helena Toporowa. W wielkiej fali sukien kobiecych mieniącej się, tęczo-

wej — jej biała, gładka, atłasowa suknia wyróżniała się jasną i lśniącą plamą. Jerzy widział jej obnażone, zaledwie że osłonięte piersi, cudownie utoczone ramiona, giętką szyję opasaną sznurami pereł, które przedziwnie połyskiwały na lśniącym atłasie skóry. Widział jej twarz bladą, wysoko spiętrzone ponad czołem włosy, włosy złociste, gorące wśród których chwiał się i sypał skrami brylantowy motyl.

Chwilami zdawało mu się że poglądają ku niemu jej oczy, poglądają z pod rzęs przymkniętych z jakimś wyrazem dziwnym, drażniącym.

Krew uderzała mu wtedy do głowy, pulsa biły przyspieszonem tętnem.

Były chwile, że chwytał spojrzeniem jej uśmiech — uśmiech tajemniczy, senny, obojętny, który wił się po rozchylonych wargach i zamierał w kącikach ust nie rozjaśniając twarzy. Tańczyła niedbale z tym leniwym, miękkim wdziękiem który cechował jej ruchy, po którym byłby ją poznał między tysiącami innych. Był to jakoby rytm tęsknej, nuconej cichutko, miłosnej piosenki która zamiast kołysać wlewała żar w żyły.

W »tourner«, gdy jej cudne ręce wyciągały się ku tancerzowi, Jerzy doznawał przez mgnienie oka takiego uczucia, jakby ktoś nagle szarpnął go za trzewia i ból ostry, przeszywający, dotkliwy przejmował go wskróś i krzykiem

ogromnym pchał się do gardła. Tłumił go całą siłą woli i rozpaczy i aż drżał cały od uderzeń tej burzy która rozrywała mu piersi. Czuł jak pot zimny spływał mu po czole, tętna w skroniach bijące tak, że zdawały się rozsadzać czaszkę. Jak przez mgłę widział teraz jej nagie plecy, drobne, obfite loczki wijące się po karku, węzeł złocistych, wzniesionych w górę i skręconych wysoko na ciemieniu głowy włosów. Widział wygiętą, falistą linię jej bioder.

Uspokajał się zwolna i gonił ją oczami.

Oddalała się, ginęła na chwilę w tłumie i wypływała znów gdzieś w oddali.

Wytężał wzrok, ażeby dojrzeć jej twarz, uśmiech, spojrzenie. Opływała go i kołysała tęsknota, beznamiętne pragnienie przylgnięcia ustami do kraju jej sukni. Poddawał się uczuciu cichego szczęścia, błękitnego rozmarzenia, które otwierało mu na chwilę zaczarowane, nieznane dotąd krainy.

Nagle ochrypły krzyk wodzireja przecinał powietrze, jej ręce wyciągały się ku innemu, Jerzym wstrząsał znów huragan boleści, spazm zazdrości bezrozumnej, gryzącej. W jednej z figur kadryla przesunęła się tuż tuż koło niego, tak że atłas jej sukni otarł się z szelestem o jego kolana.

Przeszedł po nim jakby prąd elektryczny, prąd o niesłychanie wysokiem napięciu, składający się z tysięcy i tysięcy iskier. Wstrząśnie-

nie było tak silne, że na chwilę stracił przytomność i objęło go straszliwe uczucie grozy i rozpaczliwego lęku — milczące, zimne, okrutne uczucie towarzyszące śmierci.

Gdy oprzytomniał począł jej szukać oczami z dławiącym niepokojem.

Tańczyła o parę kroków od niego; głowę miała pochyloną, oczy spuszczone, na ustach ów dziwny, chłodny, blady, nic niemówiący uśmiech. Pił spojrzeniem jej urodę, słodki wykrój jej ust, tajemnicę przysłoniętych powiekami oczu. Mówiła — widział jak usta jej poruszały się wolno, leniwie; jak z poza warg czerwonych pobłyskiwały zęby.

Była chwila, że zdawało mu się, że życie by dał, aby usłyszeć to o czem mówi. Wpatrywał się w nią ostro, naglące.

Podniosła powieki — oczy ich spotkały się nagle. Było to spojrzenie krótkie, złociste, oślepiające jak błyskawica. Jerzy rzucił się naprzód jakby pociągnięty przemożną siłą i natychmiast opadł plecami o ścianę.

W tejże bowiem chwili tancerz pochwycił ją w ramiona i pociągnął za sobą wszalony wir galopady.

W oczach Jerzego zawirowała nagle cała sala, potem ogarnęła go zupełna ciemność; przytomność odbiegła go znów i to tak dalece, że ani wiedział gdzie jest, ani co się z nim dzieje.

Ogarnął go jakby jakiś odmęt wód huczących, rwących z góry.

Patrzał nieprzytomnie oczami które zdawały się nic nie widzieć, niczego nie rozumieć.

Ściany sali wieńczone jedliną, drżące płomyki świec, mleczne kule lamp, tańczące pary, różowe, nagie ramiona kobiet, twarze rozpłomienione — pragnące, wpół-rozchylone usta, oczy powleczone mgłą upojenia i oczy błyszczące prawie złowrogo brylanty, kwiaty, obłoki gazy i tiulu, szeleszczące węże wstążek i żółtawa piana koronek, drobne strusie piórka palące się we włosach kobiet jak płomyki, wszystko zlewało mu się w jeden wir szalony, tańczyło piekielną, onieprzytomniającą sarabandę. I z tego obłędnego chaosu wyłamywał się jedynie i górował ponad wszystkiem jękliwy, cienki głos skrzypiec — głos ostry, szarpiący nerwy, bolesny, który zdawał się krajać kawałkiem ostrego szkła po sercu i z każdym tonem wrzynał się w nie głębiej i głębiej.

Nagle zcichło — umilkło wszystko.

I w tejże chwili zaszemrał przy uchu Jerzego szept pytający, drżący wyrzutem, smutny:

— Dlaczego nie tańczysz Jerzyku?

Chłopak oprzytomniał.

Przed nim stała jego siostrzyczka Zosia a u jej ramienia tuliła się jej przyjaciółka Wisieńka.

Obie miały sukienki prawie że jednakie, jakby utkane z mgiełki porannej, blade, różowawe, zasypane jakimiś drobniutkimi, białymi kwiateczkami. Takież same kwiatki chwiały się w ich włosach, drżały u piersi.

— Dlaczego nie tańczysz Jerzyku? — pytała cicho Zosia.

A Wisieńka nie mówiła nic, jeno patrzała mu wprost w twarz przedziwnem, cichem spojrzeniem istoty ranionej śmiertelnie.

Jerzy widział ustawiczne drżenie jej drobnych ust osłoniętych ciemnym puszkiem, widział jej twarzyczkę zbladłą, bladą jak płótno; widział to nieme spojrzenie które zagłębiało mu się w duszę głęboko, coraz głębiej.

Gdzieś on już widział takie oczy rozwarte szeroko, bolesne.

— Ach! parę lat temu, wyrostkiem jeszcze będąc, postrzelił był w kniei sarenkę. Padła na przednie nóżki i tak klęcząc w śniegu i brocząc krwią która rubinowemi kroplami spływała na ziemię, patrzała mu przez chwilę w twarz prześlicznemi, bolesnemi oczyma przez które przeglądała męka konania. Słyszał jej bolesne kwilenie, płacz jakby dziecięcy, niewymownie żałosny, coraz cichszy. Stał nieruchomy i jakby skamieniały pod wpływem dziwacznego żalu i wstydu, wyrzutów sumienia dziecinnych i śmiesznych.

Widział jak jej oczy zachodziły bielmem, jak się chwiała, słaniała aż padła pyszczkiem w śnieg zbrudzony, czerwony od krwi. Skoczył wtedy ku niej z piersią pełną zdławionych łkań i krzyków radosnych, przerażony i upojony tryumfem śmierci którą zadał, przeniknięty zwierzęcem zadowoleniem silniejszego. I nagle tuż obok siebie usłyszał schrypły, gniewny głos ojca:

— To do saren strzelasz ośle!?

. . . . . .

Jerzy wymówił się panienkom jakimś banalnie uprzejmym zwrotem, coś mówił o bólu głowy, zmęczeniu, o tem, że pragnął a nie mógł odszukać pannę Wisieńkę. I mówiąc patrzał gdzieś w przestrzeń, bojąc się spotkać z jej wzrokiem, z tym dziwnym wzrokiem który mu przypominał ranioną w kniei sarenkę.

Wreszcie wyślizgnął się z salonu i przebiegłszy parę sal i pokoi wybiegł na taras.

Noc była ciemna, pogodna i ciepła.

Jerzy oparł się o balustradę kamiennych schodków i patrzał w ogród. Nie widział nic przed sobą; drzewa, krzewy, klomby kwietne wszystko zlewało się w jedną nieprzejrzaną, ciemną ścianę.

Ale z mroku tego wyrywały się i szły ku niemu jakby jakieś szmery dziwne a nęcące, jakby nawoływania ciche, dalekie, jakby we-

stchnienia jakieś i szepty — i ten ogród w którym znał każdą ścieżkę, każde drzewo, każdą piędź ziemi wydał mu się teraz czarowną, pociągającą nieprzeparcie tajemnicą. Zeszedł z tarasu i zagłębiwszy się w mrok oddalił się od domu i usiadł na niskiej, pierwszej z brzegu ławeczce.

Owionął go chłodny, wilgotny zapach drzew i traw spłukanych rosą; słodka, upajająca, senna woń odpoczywających kwiatów.

W górze połyskiwały, lśniły, drżały gwiazdy.

Nie był jednak sam; poszły za nim te oczy smutne, biedne, rozłzawione, oczy Wisieńki — sarenki. Widział je przed sobą, czuł je na sercu. Zdawało mu się, że na jego pierś pada łza za łzą, że spływają one wzdłuż jego ciała gorzką, zimną i ciężką falą.

Z oddali płynął ku niemu jakby jęk, jakby owo kwilenie zasłyszane wtedy, kwilenie bezsilne, jękliwe, coraz słabsze istoty konającej. Ogarnął go rozpaczliwy lęk, poczucie bolesne wyrządzonej krzywdy.

Gdy oprzytomniał nieco, starał się uzmysłowić sobie, że to jeno wiatr szeleści, w gałęziach prastarych drzew, dzwoni o listeczki. Śmiał się z siebie i starał się myśleć o czem innem. Ale te jej oczy znów były przy nim, gdzieś na dnie jego duszy.

Te oczy mówiły mu o tem o czem chciał zapomnieć, przypominały mu to co deptał.

Obrazy słodkie, przeczyste, słoneczne poczęły napływać jedne za drugimi. Słyszał słowa naiwne, czyste a gorące, przysięgi serc młodych i nieskalanych, widział jej cudne dziewczęce oczy rozpromienione i ufne — czuł dotknięcie jej ust na swem czole, dotknięcie które nie było pieszczotą nawet, raczej zachwyceniem.

Ogarnęła go tkliwość niezmierna i łzawa — wzruszenie czyste, gorące.

Nagle drgnął całem ciałem i zdrętwiał.

Od strony dworu szedł i zbliżał się ku niemu szelest dziwny, drażniący.

Jerzy skulił się w sobie, znieruchomiał i czekał.

Zamknął oczy i duszą całą wsłuchiwał się w ten szelest cichy, zaledwie że uchwytny, ostry szelest atłasowej sukni kobiecej i zgrzyt zwiru usuwającego się z popod nóg stąpających lekko, ostrożnie. Ręce miał zimne, zziębnięte jak w paroksyzmie febry, głowę rozpaloną, płonącą. Okropne, gwałtowne i nierówne uderzenia serca zdawały się rozrywać mu piersi; schło mu w gardle. Jakiś krzyk straszny, krzyk niezwalczonego pragnienia, szalonej, radosnej nadziei wstrzymywany resztkami przytomności i woli rzęził mu, charczał i zamierał w krtani.

I zdało mu się nagle, że oto rozkwita przed nim kwiat ogromny, potworny a cudny zara-

zem, dziwny i straszny kwiat o odurzającej woni, kwiat upragniony nad wszystko w świecie, purpurowy kwiat grzechu. Była to jakoby róża z płomieni, której ponsowe płatki rozsypywały się w tysiące ognistych języków, łączyły w łunę i znów rozsypując się tańczyły w oczach Jerzego rozszalały, złowrogi taniec plam krwawych, płomienistych i złotych. Był bliskim omdlenia.

— Czy to ty Jerzy? — zaszeptał przy nim głos znany, upragniony, miękki i pieszczotliwy.

Nie podnosząc głowy, nie otwierając oczu, widział postać smukłą, opłyniętą białą falą lśniącego atłasu, nagie ramiona i obnażone cudne piersi, twarz bladą w ramie włosów złocistych, gorących wśród których drżał i sypał skrami brylantowy motyl.

Nie podnosząc głowy i nie otwierając oczu, widział oczy poglądające z pod powiek przymkniętych, oczy zielonawe i nęcące jako te jeziora na uroczyskach, błyszczące jako szmaragdy z bajecznego skarbca Aladyna. Widział wąskie usta po których wił się ów uśmiech dziwny, tajemniczy senny i zamierał w kącikach ust nie rozjaśniając twarzy.

— Czy to ty Jerzy? — powtórzył ów głos jeszcze ciszej, jeszcze pieszczotliwiej i senniej.

. . . . . .

— Przyszłam — tam tak duszno...

Z krzykiem zdławionym, strasznym, nieprzy-

tomnym, z ogromnym krzykiem wybuchającej namiętności, pchnięty naprzód żywiołową siłą krwi rozszalałej i młodej osunął się na ziemię obejmując ramionami jej kolana.

Zakopane 20 kwietnia 1902 r.

SPIS RZECZY.

	Str.
Pole racławickie	1
Listy prababki	7
Za te najbiedniejsze	55
Wieroczka	67
Pieśń o ciszy	91
Księżniczka Elżbieta	129
Kwiat grzechu	143

BIBLIOTEKA
Państwowego Liceum Pedagogicznego
w GLIWICACH
Nr.